

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 21 listopada 1948 r.

Nr 47 (175)

Józef Pogan

WIEŚ W OSTATNICH LATACH PRZED WOJNA

(pamiętnik)

W ieś ta leży między dwiema szosami: Kraków — Trzebinia od południa i Kraków — Olkusz od północy-wschodu. Do miasta powiatowego, Olkusza, 20 km, do Krakowa 18 km, do miasteczka Skala 10 km, do Krzeszowic 12 km, do stacji kolejowej 7 km.

Powierzchnia gruntów wsi wynosi 680 ha, w tym jedna trzecia lasów i nieużytków. Jakość gleby średnia: na pagórkach glina, w nizinach urodzajny less. Połowę tego stanowią gospodarstwa od dwu i pół do trzech i pół ha. Jedną czwartą posiadają tak zwani „zagoniarze” od pół ha. Reszta ziemi należy do kilku bogaczy, których jest mniej więcej tyłu, co bezrolnych i bezdomnych komorników.

Ilość domów 120, rodzin około 160, osób razem około 800.

Zarówno umiejscowienie wsi, jakość gleby, różnice posiadania, jak i gęstość zaludnienia wskazują wyraźnie, że jest to wieś zwykła, przeciętna, podobna do wielu, wielu wsi polskich. W jakich więc warunkach żyli tam ludzie w ostatnich latach przed wojną?

I.

„ZAGONIARZE”

Dom po średniaku Janie Kanarku straszny brzydota; odrapane z wapna ściany, zmurzająca strzechą, poszarpana wiatrem, świeci szparami i „przepłataną” cerofacją, nigdy nie ukończoną łataniną. Do ścian poprzyklepane chlewiki, szopki i różne „wypustki”. Pośród chlewików cztery kupki gnoju są jakby imiennym wykazem ilości nowych gospodarzy, bo inaczej wygląda tylko na dwu: z frontu tylko dwie sienie i dwa okna. Po deszczu spod kulek gnoju ciekła gnojówka tworząc w podwórku bajorko — bród dla kaczek.

Pierwsza sień wiodła do mieszkania zięciów Kanarka: Jana Jarosza i Piotra Kubery, druga do Franka Kanarka i siostry jego, kulawej Elżbiety.

Dwumorgowiec Jarosz oprócz rolnictwa miał jeszcze dwa „fachu”: ścinał pokrywom w cudzych lasach grabinę na bijaki do cepów, nosząc je na sprzedaż pod Kraków, oraz zabijał psy i koty na sadło „na oberwanie i suchoty”. Coś na tym zarobił i żył jakoś.

Jednomorgowiec Kubera był murarzem, pracował przeważnie w Krakowie, a żona obrabiała kisieczkę pola i wychowywała dzieci.

Frank Kanarek — to prawie półinteligent, były policjant i plutonowy rezerwista. Ten poza obróbką morgi ziemi nie miał innego zajęcia, wstydził się bowiem pracować we dworze i u bogaczy. Czasem wynalazł dorywcza pracę przy budowie domu w Krakowie, a resztę czasu spędzał na czytaniu gazet i dyskusjach politycznych. Za to żona handlowała pierzem.

Elżbieta kulawa żyła najędziej. Zestarzała się w panieństwie, aż wreszcie znużyło się jej to cnotliwe życie i dochowała się dwójki dzieci. Idąc w pole do pracy na swą morgę brała dzieci na plecy, okrywała płachtą i kuszylając, wyhuśtała je, że im „pono już kółki nie było potrzeba”.

Dla reszty rodzeństwa po Kanarku nie starczyło już pomieszczenia w domu.

Po Adamie Brandysie została połowa domu, bo swoją potowę rozebrał Władek Brandys. Spadkobiercy po Adamie jakoś zakatali spróchniałymi rozdarty bok dachu. Wiatr dał szparami, hulał po poddaszu, pluł deszczem, sypał śniegiem, ale to nic. Połowa domu stała kilkanaście lat służąc za mieszkania gryzącemu się wzajemnie rodzeństwu.

W izbie mieszkała matka z zamężną córką i dwójkiem innych dzieci, zaś w komorze zięć Myszkowski, stolarz. Wyróżniał w boku ściany dziurę, wprawił drzwi i miał osobne wyjście i spokój. Koło drzwi sklecił z deszczulek chlewik, obłożył go liśmi i było pomieszczenie dla kozy. A zamiast sieni ugrodził „zachaję” z chojny. Ciasno było w tej komorze, ale przecież łóżko i warsztat stolarski jakoś się zmieściły, bo deski i inne graty leżały pod „zachają”. Koło pieca było wolne małeńkie półkole i Julce było nawet z tym wygodnie. Antek nogą popychał od warsztatu wióry i obrzynki, a Julka z „siedzacką” brała je i kładła do pieca. Szło automatycznie, bez fady. Za to z drobeniem klusek było niewygodnie: niecki trzeba było trzymać albo na kolanach, albo na blasze kuchennej. Z ziemniakami też miała

wygódnie: podniosła tylko deszczulkę i już się same kulały pod piec spod łóżka.

Witek z żoną i dziećmi nie długo wycierpieli przy teściowej. Zresztą musieliby gniesie się na kupie, ale wnet w chlewie brakło krowy i konia, więc Witek zrobił tam izbę. Był z niego trochę i murarz, i ceglarz, i cieśla, to też sam wszystko zrobił: i druga szybka w okienko wprawił i piec z surowej cegły postawił. No i kładkę z deski przez dół po dawnej gnojowni zbudował.

Chlewik dla kóz sklecił Witek do spółki z Jaskiem Brandysiem przy ścianie domu. Nawet spory, że ciut-ciut to by i krowa się zmieściła.

Stodoła podzielili się na czworo, bo i Mańka, ta z „Browaru” składała swoje zboże. Bywało trochę z tym kłopotu, bo sobie kradli: wzajemnie snopki, kłóciła się, a nawet i bili. Ale to nic, dość że się jakoś pomieścili.

Myszkowscy żyli jakoś i w niedzielę kawę z sacharyną pili. Ale z Witkami było gorzej, bo choć chłop miał „parę fachów w rękach”, jednak rzadko kiedy znalazł robotę. A z morgi pola — to ni żyć, ni zdychać. Chłopina był trochę oczytany, toteż umiał psioczyć na rząd, na panów i księży. Zaś Hanka stale przeklinała rodziców, a matkę przypominała „po co ją na świat urodziła”?

Po Piotrze Króliku spadkobierców ośmiu. Wszyscy dorosli, pięcioro już żonaty. Każdy chce oddzielnie żyć z swymi rodzinami. Ale jak „gdy świat wokół „deskami zabity”? gdy nie ma wejścia do innego zawodu? Nie było więc innej rady, tylko mus było podzielić ojcowskę, dorabiać do reszty u bogaczy, czy we dworze i klepać biedę.

Chałupina podzieliło się troje. Niby „nowoczesna” była i jakoś dała się „przetroić”. Najstarszy syn zamieszkał w kuchni, dwu w przeprawionym pokoju. Wyjście porobili osobne, aby sobie nie przeszkadzać. Wyrznięli dziury w bokach ścian i powprawiali drzwi. I „zachaję” z chojny też zamiast sieni porobili. Tehnąca przyroda sieni niewygodna, bo choć pomieści na zimę drzewo i różnorakie graczki, ale śnieg zakurzy do imentu, zaś w lecie igłowie obleci. Więc trzeba co roku poprawiać, albo nową robić. Ale to nic, chojny pełno na lasach.

Sadem koło chałupy i polem dzielili się jak zgłodziłi kromką chleba. Nie z chciwości, broń Boże, bo te Króliki to nawet zgodna z sobą rodzina. Ale pięć morgów tego na ośmiu, to dość wąsko dla jednego wypadnie. „Pomierca” taśmę gwoździem do tyczki przymocował i wyciągał prociutko. I pod oczami wszystkich spadkobierców ołówkiem w ziemi punkcik na paliki znaczył. Dzielili się, kieby kielbasą, by nikogo nie pokrzywdzić, nie zwięzić na centymetr działki każdego właściciela.

Na sadzie stanęły jeszcze dwie chatki. Piętek Szostek i Jasiek Wieczorek (szwagrowie) sklecieli je za spłaty rodzinne. Dla trójga pozostałych brakło już placu.



fol. J. Chlusk

Spróchniałe przyciesi chałupy Szczepana Mitki miały się pod wygiętymi w palak ścianami, a dach zapadał się powoli. W izbie ciemno jak w piwnicy. Ale ciemniej jeszcze w komorze u starego Wieczorka, ojczyma. Za to u zamężnej Kaśki było widno. Miała izbę w wyporządzonym chlewie. Ponieśli przez to Mitkowie sporo wydatków, bo chlew nowy musieli do ściany przybudować. Ale cóż? — trza było jakoś córkę wyposażyć, kiedy się wydała. A wydała się wcześniej i „nieźle”: w siedemnastu latach wyszła za czterdziesto-dwuletniego Jaska Paczyńskiego. Dychawiczny też był, ale miał trzy ćwierci morgi pola jak stół równińskiego, więc się uchrwili.

Pola już Mitkowie nie udzieliłi Kaśce, bo i nie było z czego udzielać. Niby wszystkiego było pięć morgów, ale półtora użytkowała matka w dożywociu, a półtora nieużytku. Na dwu morgach Mitkowie wiedzili zakazany żywot. Nierządno motykami uprawiali ziemię, na plecach znosili snopki i ziemniaki z pola, bo nając nie było za co.

W wolnym od pracy czasie Szczepan chodził z cepem i kosą pod Kraków, Aniela z dziećmi po chrust do folwarcznego lasu. I zawsze bosy. Nawet, gdy już w końcu jesieni śnieg przyprószył, też bosy z dziećmi dzwigała z lasu ciężkie brzemiona.

Anielka zawsze miała czerwone od płaczu oczy. Płakała o zgubione jajko, o zdechłe kurczę już lamentowała. Obójce z Szczepanem stale się kłócili i bili. Dzieci też ostro karcili. Bili za każdy zniszczony gęsiom czy krową kłos zboża, krzak ziemniaka, za małą wiązkę przyniesionego chrustu... za bądż co...

Dzieci choć się zdrowe i ładne rodziły, później „robiły się jakieś niewydarzone”, chorowite. Jedno chodziło „bokiem”, z rozdętym brzuchem, z wielką na bok przechyloną głową, drugie chwycił reumatyzm, zaś najstarszy syn już od dwunastu lat „zdziżył się”, bo unikając bicia — sypiał nawet zimą w sąsiedzkich szopach.

Chałupina Ludwika Nabagła jeszcze nie wykończona, a już się poczęła walić, że ją chłopina słupami popodpierał. Nic dziwnego, sklecił ją z próchniałek poza wsią na dwumorgowej działce i z ośmiorgiem dzieci wiodł dziadowski żywot. Nie to nie pomogło, że Ludwik był ogromnie pracowity i „zmyślny” do wszystkiego. Trudnił się wycinaniem w lesie bijaków, murarka, stolarka, cieślioka, nawet trumnę dla „lichszego” nieboszczyka też zrobił. Miał „siedem fachów, a osma biedę”. Nigdy nie było czym zasiać, obsadzić, jedzenia co rok już od marca brakowało. Dzieci już od ośmiu lat oddawali do służby gospodarzom. Każdy brał chętnie te pracowite „niebożatka”.

Frank Przedzidek powrócił z Francji. Zredukowali go tam, więc wrócił do wsi, myśląc, że się jakoś da żyć. Kupił od Wąsłki stary chlewik i na półtoramorgowej działce, jaką żona dostała w posagu — w lesie, het poza wsią aż dwa kilometry, sklecił budzinę. Na jedno miał wygodnie: i liście na ściółkę pod kóz, drzewo, jagody i grzyby miał w

W NUMERZE
między innymi:

- W. Kuszyk — Francja walcząca
- M. Grad — Kmiec — kapitalistyczna młodzież „warsztwy chłopskiej”
- A. Chmura — Rząd Lubelski w 1918 r.
- W. Strzebiński — Realizm w malarstwie
- J. Baculewski — O kierunek wychowania
- A. Braun — Wiersze
- T. Goździkiewicz — Cztery dni Mateusza
- J. B. Ożóg — Z przyczółka dzikiej gruszy
- P. Czyżowa — Odpowiedź poecie z przyczółka dzikiej gruszy

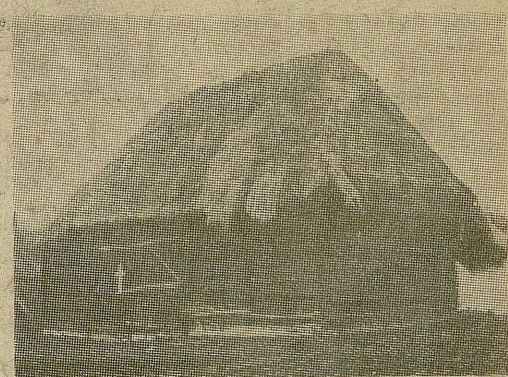
miejsu, zaś na drugie zle: po wodę dwa kilometry. I ręczne uprawianie poletka nie pozwalało na czas po wodę, najwyżej w niedzielę. Wtedy chłopina zaglądał do wsi, opowiadał o Francji, o Niemczech, o Włochach. Uświadomiony społecznie i politycznie ten chłop, władający paroma językami, znalazł się w polskiej, w rodzinnej wsi zupełnie na pokucie, w lesie, jak święta Magdalena.

Stachowi Czaplci obrzydło mieszkanie na odludziu. Usprzedał kawałek ziemi, kupił we wsi plac i wybudował z gliny chałupę. Nie zdążył jednak wykończyć, bo bieda i mordęga zniszczyły mu zdrowie. Zamieszkał więc w czterech pustych, nieobitelnych ścianach. Jedynymi w izbie przedmiotami były stare niecki, stółek i ławka. No i piec w kącie. Cała rodzina sypiała na podścielonej na ziemi słomie, przykrytej starymi workami. Jadali bez soli, bo o okrasie zbyt ciężko wspominać. Pono w życiu nie wachali zapachu słoniny.

W chałupie Czaplci naprawdę „straszyło”. Nikt tam nie zachodził, nawet „pan” sekwestrator. Sołtys uchylał tylko drzwi i wołał Czaplę za próg do postawienia krzyżyków pod protokołem „zajęcie nieruchomości”, jak np. zboże na pniu lub w snopkach. Czaplca bez wahania stawiał krzyżyki, odbierał pismo i rzucał dzieciom dla zabawki. Nie obchodziło go wcale, co z nim sekwestrator zrobi. A no, „niech se zabierze dzieci i sprzeda na licytacji”.

Do chałupy Wawrzka Mirka na „nawis” trudno było po deszczu dojść, przez „suchy łąd”. Trzeba było skakać po sterzających wokół sadzawki głazach. Brudna woda zalewała przyciesi izby i bokami wokół na przeciwną stronę przed okna spływała.

Ciemno było w tej izbie, bo cztery małe szybki zastaniały jeszcze okap strzechy. No i Zymankowskiego grusze, jabłonie i Ziębów dom zasłaniały widok z południa. To też w lecie Mirkowie jadalni wodziankę na polu pod ścianą, by nie zjeść muchy, bo się bardzo brzydili.



Mirek miał dwa morgi pola. Większe dzieci były w służbie, mniejsze pomagały matce zbierać borówki, grzyby, które Wawrzek nosił do miasta. Wycinał też bijaki, łupił też korę z lipy i krecił powroziaki. W tym „fachu” był naprawdę mistrzem. Już z daleka dojrzał lipę w lesie, podszedł cicho, „rysnał” parę razy nożem po konarze i w mig obłupił drzewo. A jak już miał korę w worku — wtedy nie bał się właściciela, bo odważny był i pięść miał silną.

Chodził też Wawrzek do gospodarzy z kosą czy z cepem. Ale rzadko. Nienawidził bogaczy, kłął na nich, że im nie będzie za półdarmo tyłków ucierać”.

Ludwik Goden sklecił na swej mordzie za wsią, na tak zwanej „wydmuchówce” glińiankę. Nie wiele go kosztowała, bo niemal sam z żoną wybudował. Dla kóz ugrodził pod ścianą chlewik z chrustu i liśmi dla ciepła obłożyl.

Latem Ludwik pracował we dworze, zimną młócił u gospodarzy. Balbina znów sprzątała u Brandysa we młynie. Jednego roku miała tam dość pracy, bo z łózka spod sparaliżowanej Franki wypatrzała. Dostała za to trochę kaszy, maki, pieniędzy, a nawet starą koszulę po France.

Przez parę lat jakoś Godeniowi żyli i na niektórą niedzielę parę deko słoniny do kapusty kupili. Dopiero, gdy Ludwikowi spuściły nogi jak konewki — zaczął się „zokamynt”.

Po Sylwestrze Nowarze zostało cztery morgi oddalonego pola i rozczochrana chałupa. Stała na placu Paczyńskiego, podwórko zaś było nade drogą, na placu gromadzkim. Dwie ściany od sadu były od dawna obłożone liśćmi; do jednej przylepiona szopa, zastępująca stodołę; zaś z przodu, nad drogą pod oknem szopa z płotu. Pół sieni zajmował chlewik dla kóz. Poza drogą ustęp i dwie gnojownie — dowód dwu mieszkańców tej budy. Po każdym deszczu policjant miewał okazję do nałożenia mandatu karnego, bo gnojówka spływała na drogę.

Wicek Nowara, jako główny spadkobierca po ojcu, zamieszkał w izbie. Miał szczęście, że starszy Ludwik przyznał się na jakąś budę i kawałek pola, bo inaczej — Wicek poszedłby na komorę. Zaś zamezna Maryśka wyprzedziła sobie komorę.

Gospodarze niemile spoglądali na mieszkańców tej chałupy, że to jakieś „lekkie chlebki”. Bo tak Nowara jak i Szostek (Maryśczyn) nieradzi pracowali u bogaczy. Szostek grywał chłopakom na harmonii i co nieco zarobił. Zaś Nowara ścinał nocami drzewo w dworskim lesie, układał w szopie sążnie i sprzedawał je. Zazwyczaj po osiem złotych tygodniowo zarobił. Cieżko to było dźwigać drzewo pod dwukilometrowy pagórek. A jeszcze bardziej dokuczała ciemność nocy.... śliska od mrozu ziemia w lesie.... zaspy śnieżne.... Każdy grosz był opłacony poślizgnięciem, pięciogroszówka — grzmotnięciem łbem o ziemię, złotówka — wszystkimi przygodami, jakie się zdarza w ciemności na urwistych, kamienistych zboczach lasu i drogą ponad wawozami.

Ale Wicek był silny i cierpliwy. Przeklinał ten swój „fach”, ale innego wyjścia nie miał. Mógł być wprawdzie pracować u bogaczy, ale i zły był na nich, no i mniej by u nich zarobił, niż noszeniem drzewa.

Gospodarze pozacznie gderali na Wicka, ale w ocy nikt nie odważył się nazwać go złodziejem. Bo Wicek, dwumetrowy niemal chłop bił w mordę. Gdy inni, czy to z konieczności, czy z szacunku dla bogaczy płaszczili się przed nim — Wicek nie wybierał i bił w mordę, choćby to był nawet „pon” hrabia. Wickową pięść poczuł raz na sobie właściciel folwarku.

Wreszcie ucieśli się niektórzy gospodarze: chałupa Nowarów zapaliła się w nocy, że domownicy ledwie tylko w samej bieleźnie zdążyli uciec z płomieni.

Franek Karcz kupił sobie za spłatę rodziną trzy morgi pagórzystego lesiska z folwarcznej posiadłości. Za resztę pozostałej spłaty skleił cztery ściany na chatkę. Ale dalej już nie ruszył, — jak zamieszkał w czerech pustych ścianach, tak mieszkał kilka lat. Nic to, że taczkami gnoj w pole wywoził, nic to, że u bogaczy narabiał, nic to, że z grzybami, z kwiatkami, z chojną chodził wraz z żoną do Krakowa — na wykończenie chatki nie oszczędził. Wreszcie żona od nędzy i różnych zmartwień zwariowała.

Półowę murowanego z kamienia domu po Gascie rozebrał zięć Ludwik Czapla. W oszczędzonej półowie mieszkało nadal dwie rodziny: Jan Chochół i Franek Kowalski.

W obu „przegródkach” było ciemno jak w piwnicy. Książkę do nabożeństwa trudno tam było przeczytać.

Jan Chochół, dwumorgowiec — to stały wyrobnik u bogaczy i zbieracz jagód i grzybów. No i w dodatku odrabiał dworski za plewy dla gęsi, za stonę dla cielęcia, za liście na podściółkę, za drzewo i żywność.

Jednomorgowiec Franek Kowalski pracował bezustannie u pięćdziesięciomorgowca

Jan Paczyński, dwu i pół morgowiec — to pociecha dla pięćdziesięciomorgowca Papiza. Wychwał go też, że „siece, kieby masyna”. Istotnie Paczyński — to pracowity, zwinny i silny chłop. I podlizywał bogaczy, — ciągnął zawsze naprzód, że wszystkich kosiarzy do cna umczył.

Ludwik Paczyński, kowal, miał się trochę lepiej. Wprawdzie obstrzępany chodził, ale jałowych ziemniaków pojadł do syta i na machorkę grosz miał. Gdy mu brakło pracy w kuźni — dorabiał u Papiza we dworze.

Jednomorgowy Stach Nowara, ten właściciel ćwiartki domu — to „mietlarz nad mietlarze”. Jego scyzoryk ostrzygł tysiące brzošek, a plecy tysiące „ociep” wyniosły do Krakowa. Na raz brał pół kopy miotła, albo i więcej. Zaś w czasie pilniejszych robót polnych pracował u gospodarzy.

Pracowity ten chłopina „asekurował” się pilnością i taniością pracy na dalszy czas — wyrobniczego żywota: i miotły dobre robił, a niedrogo sprzedawał i od bogaczy za dniówkę wzięł co mu dali. Jak najlepiej, nie drogo, aby roboty do śmierci nie utracił.

Jan Leśniak, dwumorgowiec, po każdym żniwach klepisko do młócki pod „gołym niebem” ubijał. A no, nie miał, chłopisko, stodoły, więc od razu we żniwa musiał na polu otłuc. Co przynieśli z żoną parę snopków — zaraz młócił i znów szli w pole po dalsze „porcje”. Gnoj też sobą wywoził, ziemniaki też motykami przeciuypywali.

Do pracy u gospodarzy Leśniak nie chodził. Zresztą nikt go nie chciał najmować, bo był słaby i dychawiczny. Jednak nie próżnował, — wyszukiwał w okolicy miejsce do służb i potrzebnych służących (tak zwana „agentura”). Za to od gospodarzy dostał nieco kaszy, maki, jakiś skwarek słoniny, zaś od „kandydata” do służby najmniej pół złotówki. Przy tej okazji „handlował” też i psami.

Większe dzieci Leśniaka stałe narabiali w podkrakowskich dworach. Daleko było chodzić do pracy, ale nie było innej rady.

„Niewydarzone” były te dzieci Leśniaka: pyziate i brzuchate, z wielkimi, okrągłymi głowami i nogi miały jak podkulki, że by nawet sankami pomiędzy nimi przejechał. Ale za to były dobre i pracowite jak te pszczoły.

Po Jakubie Juraszewskim zostało sześć morgów ziemi i sześciu spadkobierców. Czworu żonaty z rodzinami i dwie dziewczyny. Zamienili więc komórki na izby, pole pocięli na kiszczki.

Matka z córkami zamieszkała w głównej izbie, „pierworodny” Jasiak w widniejszej komórze; Antoszkę Nowakowską wypchnęli do ciemnej kucyki.

Matka z córkami nie miały sił na pracę we dworze czy u bogaczy. Czasem tylko z konieczności obrabiała za konną robotę w polu.

Nowakowskiego nie najmowali gospodarze, bo on „więcej patrzył do miasta niż na wieś”. Łaził więc do Krakowa za pracą. Jak przełaził tydzień, to na tydzień wyszukał pracę przy budowie domów. Obrzydło mu to wkrótce i zaczął handlować jajkami, a później potajemnym rzeźnictwem. Nie długo jednak, bo gdy policja skonfiskowała mu mięso z wieprzka — dalej już nie ruszył. Znów szukał pracy w mieście, wreszcie pozabawiony środków do życia, obstrzępany jak ten strach w konopkach — musiał szukać z żoną pracy we dworze. Wieczorami naprawiał blaszane garnki i miski. „Pierworodny” Jasiak nie gardził żadną pracą. Obrabiał stałe średniaka, szewca Lorenca. Kosił, młócił, ko-

pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

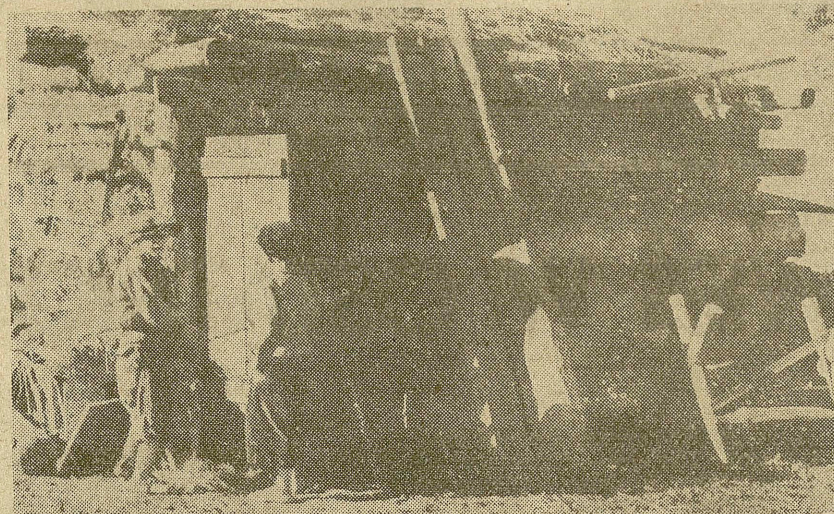
Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

Pał z żoną ziemniaki, rąbał drwa, nosił wodę, wyrzucał gnoj, ba nawet buty Lorencom czyścił. Zaś żona prała u Lorenców, doila krowy, sprzątała w izbie itp.

czasie okupacji niemieckiej był gminnym agronomem. Poza innymi czynnościami służbowymi kontrolował gnojownie, czy też rozdawał przydziały papierosów. Jakże miał dochody z tego stanowiska? — trudno powiedzieć. Po ukończeniu wojny zbudował wspólnie z dorobkiewiczem w sąsiedniej wsi elektryczny młyn.

Wojciech Bińczycki choć miał przeszło sto morgów, jednak nie stał tak wysoko „na świeczniku” jak Papiz czy młynarz Brandys. Ten był obrzydliwie skąpy i chciwy. Wolał nawet, żeby mu się zboże w polu niszczyło,



fol. Film Polski

zapłacił gotówką. A odrobek „wisiał”. Z tych odrobów biedacy często nie tylko nie mieli żadnej korzyści, ale nawet stratę, bo zmuszeni byli sadzić ziemniaki w końcu maja, lub w czerwcu, orać ścierniska w październiku, a żyto siać w listopadzie. Na tym tle dochodziło do różnych sporów, kłótni i bójek. A bogacze jeszcze podjudzali średniaków, wmańwiając w nich, że „ni ma nic gorszego na świecie od dziańców”, zaś w biedotę — że „bogocę są stateczni, honorowi i lepsi od innych”.

III

BOGACZE

Pięćdziesięciomorgowiec Andrzej Papiz był „ozdobą” wsi. Jego rad, zdania i głosu w sprawach gromady każdy niemal słuchał jak kazania księdza. Nie był wprawdzie sołtysiem, bo to „za niski dla niego urząd”, zaś na wójta nie miał czasu i żadnego wykształcenia. Był tylko dla „okras” długoletnim prezesem Straży Pożarnej. Poza paroma „bogaczami, najbardziej przyjaźnił się z księdzem i często go przyjmował u siebie. W każdą niedzielę jeździł z rodziną do kościoła bryczką zaprzęzoną w parę koni.

Oprócz stałych wyrobników, zawsze miał parobka do koni i dziewczę do krów. Ci latem przy każdej robocie chodzili boso. Do kościoła też nie chodzili. Nie wolno im też było rozmawiać z wiejskimi chłopakami i dziewczętami, żeby „się nie zepsuli w pracowitości, w szacunku dla gospodarza i w miłości do Boga”.

W przeciągu paru lat Papiz kupił trzy morgi dobrej ziemi od wyjeżdżającego ze wsi Piotra Chochola, trzy od zawiąkanego w dług Józefa Jarosza, dwie od Józefa Sypika oraz sad z zabudowaniami od Żyda Sruła Wertała. Miał więc razem Papiz dwa domy i trzy stodoły.

Miał też Papiz i swoje „troski” gospodarze. Otóż kupił sobie dwie morgi ziemi nie daleko od domu poza działką po Jakubie Leśniaku. Chciał więc kupić, albo zamienić tę działkę po Leśniaku, jednak nie udało się, bo spadkobiercy nie byli hipotecznymi właścicielami. „Spoglądał więc Papiz na ową działkę i czekał cierpliwie”.

Wreszcie ożenił się u Leśniaka Andrzej Derwisz i zamierzył budować chatkę na swej cząstce. Papiz się zląkł i rozpoczął „pertrakcję”. Dawał Derwiszowi takż sam kawałek ziemi dalej poza wsią i jeszcze coś dopłacał. Derwisz chciał dwa razy tyle. „Zagrało” to Papizowi na nerwach. Bo jakżeż to, żeby „przeklęty dziać” żądał drugie tyle? Dawał wreszcie półtora razy tyle. Derwisz byłby się może i zgodził, ale rodzina Leśniaków nie chciała między swoje wpuścić bogacza, bo on między lubił „podskrabywać”. Koniec końcem — Derwisz zbudował chatkę.

Papiz nie mógł tego przeboleć. Co spojrzeć na tę chatkę, to „jaz diabli nim trzęsił, że tyn dziać tak mu na złość wykrolił”.

— Jakby to było ładnie, syroko, żeby był dziać ustąpił po ludzku — narzekał stałe.

Młynarz Brandys — to najbliższy przyjaciel Papiza. Odwiedzali się stałe, gościli, razem jeździli do kościoła, na jarmark, wspólnie przewodzili gromadzie.

Kacper Brandys oprócz młyna, miał około dwadzieścia morgów ziemi i lasu. Na starość nie dokupywał już morgów, tylko składał pieniądze na wyposażenie dzieci. I rzeczywiście wyposażał je dobrze, a dla najstarszego Władka pozostawił w całości majątek.

Młody młynarz nie nigdy nie robił, tylko służących i robotników pilnował. Ubierał się co dzień odświętnie i bezustannie żartował i drwił z biedaków. Ten „komedian”, niczym błazen królewski, każdemu potrafił przyprawić rogi. Nawet przed kościołem też drwił z ludzi. I właśnie za ten „humor” miał jeszcze lepsze poważanie w okolicy.

Przed samą wojną młynarz kupił cztery morgi łąki, zbudował nowy dom i młyn. W

niż zapłacić możliwie najmnijom. Bibulek do machorki nie kupował, tylko w papierze palił. A Walczowski z Radwanowic nie chciał za zięcia tylko dlatego, iż ten siedząc przy stole nie doszedł do pieca dla zapalenia papierosa, tylko zapalną (własną) zepsuł. Oprócz majątku we wsi, Bińczycki kupił czterdzieści morgów pod Częstochową.

Bińczycki wychowywał dzieci w zafotaniu. O tym niechaj świadczy fakt, że pod jesień zeszłego roku wnuk Bińczyckiego pisał do mnie: „Wasze „Ugory” muszą być głupią książką, bo wy pochodzicie z bardzo niskiego pochodzenia i nigdy innych nie możecie dogonić”.

Dwudziestomorgowiec Jan Gaska był najpobożniejszym, a zarazem najskąpszym w całej bodajże wsi. Według niego „bogactwo tylko sam Bóg pomnażał”. Chodził więc w każdą niedzielę do kościoła i do spowiedzi, zaś w każde rano śpiewał godzinki, w południe „Anioł Pański”, a wieczorem „Wszystkie nasze dzienne sprawy”.

Gaska najmnijom odrabiał końmi, lubił płacić jak inni; zimą od osiemdziesięciu groszy do jednego złotego, latem do półtora złotego, bez jedzenia, bo tylko podwieczorek dawał jak wszyscy.

Gaska co rok przykupił jakąś morgę. Nie grymasił i kupował co popadło: nieużytek, las, skały, góry, pół morga, dwa trzy...

Piotr Chmura przez długie lata sołtysował we wsi. Miał około trzydzieści morgów ziemi wraz z lasem.

Opinia o Chmurze była jak najgorsza: znany on był nie tylko jako wyzyskiwacz najmnijom ale i oszust. Siedem swych córek wydał już to za bogaczy, już to za „lepszych” średniaków.

Władysław Kusztyk

FRANCJA WALCZĄCA

Walka ludu francuskiego trwa. Pytacie o historię tej walki po drugiej wojnie światowej? To siły ludowe - demokratyczne, gdy reakcja francuska w czasie wojny współpracowała z Niemcami i kompromitowała się tym samym w oczach narodu, stały na czele walki narodowo - wyzwolenczej, łącząc ją z przebudową ustrojową Francji kapitalistycznej na ludowo-demokratyczną.

W momencie uwolnienia Francji spotkały jednak bardzo silnego przeciwnika, nie tylko

liardów zysków kapitalistom. Przypuszczalny zysk kapitalistów w bieżącym roku w związku z postępującą stale wyższymi cenami wyniesie ponad trzy tysiące miliardów, gdy na wyrównanie płac robotniczych do minimum egzystencji wystarczy 400 miliardów franków. Pozostałyby jeszcze kapitalistom zyski przeszło 2500 miliardów franków, gdyby rząd premiera Queuille zgodził się zaspokoić słuszne żądania robotników. Ale rząd, wierny sługa kapitalistów, na rozkaz amerykańskich monopolów nie chciał zaspokoić żądań robotniczych. Miał podwyższyć płace robotnicze rząd podniósł

Nie inaczej też jest w rolnictwie francuskim. Francuskie rolnictwo jest technicznie zacofane, było ono nastawione przez kapitalistów na uprawę kultur technicznych, potrzebnych do przemysłu. Zboże Francja sprowadzała ze swoich kolonii. W stosunku do Niemiec w okresie przedwojennym rolnictwo francuskie miało 50 razy mniej zmechanizowanych gospodarstw. Obecnie po wojnie postępowe siły Francji postawiły zagadnienie przekształcenia Francji na kraj samowystarczalny pod względem chleba. Francja lekko może to osiągnąć, potrzeba jej tylko niezbędnej ilości maszyn i nawozów do uprawy ziemi. Potrzeba, aby rząd przeznaczył większą pomoc dla rolnictwa. Gospodarczy plan Moneta przewidywał roczną produkcję traktorów dla rolnictwa na dwadzieścia kilka tysięcy. Ale w tych galeziach przemysłu amerykańscy kapitaliści odkupili większą ilość akcji od francuskich fabrykantów i nie dopuścili do produkcji maszyn w ilości nakreślonej planem.

W ten sposób Amerykanie chcą zachować Francję jako teren do eksportu nadwyżek amerykańskiego zboża. Te plany gospodarczego opanowania Francji przez Amerykanów zmierzają do gospodarczego i politycznego jej obezwładnienia, aby po skruszonym oporze wepchnąć Francję do bloku wojennych podżegaczy i burzycieli pokoju.

W ten sposób razem z Europą Zachodnią i odbudowanymi reakcyjnymi Niemcami. Amerykanie pragną Francję przeciwstawić krajom Europy wschodniej, krajom budującego się socjalizmu.

Na przeszkodzie realizacji tych planów stoi francuska klasa robotnicza. Ona walczy o godziwe warunki życiowe ludzi pracy — walczy jednocześnie o niezależność Francji.

W kwietniu br. odbył się w Paryżu imponujący zjazd rad zakładowych. Z pośród wielu uchwał zjazd ten podjął uchwałę demaskowania i piętnowania tych przedsiębiorstw, które dopuszczają do udziału amerykańskich kapitalistów. Zjazd ten wezwał również francuską klasę robotniczą do walki z francuską reakcją i amerykańskimi imperialistami, wezwał do obrony **wolności i niezależności Francji**, do obrony praw republikańskich przed zamachem na nie ze strony reakcji i amerykańskiego imperializmu. Wkrótce po tym na terenie Francji powstało tysiące robotniczych Komitetów dla obrony wolności demokratycznej we Francji. Wokoło komitetów skupiły się wszystkie siły patriotyczne kraju. Przeciwnie polityce ujarzmienia Francji powstał silny opór, na jego czele stoi klasa robotnicza. W tych warunkach amerykańscy imperialiści zrozumieli, że przy sprzeciwie zorganizowanych robotników nie są w stanie przeprowadzić marshallowskiego planu „odbudowy” Europy.

Postanowili dlatego rozbić siłę zjednoczonej klasy robotniczej, osłabić jej szeregi. Od trzech lat przeszło próbują na terenie Francji utworzyć biuro amerykańskiej informacji robotniczej na Europie.

CGT wystąpiła z energicznym protestem przeciw takim zamierzeniom. Amerykanie otworzyli biuro w Brukseli, skąd agenci amerykańskiej Federacji Pracy (organizacji Związków Zawodowych w służbie amerykańskiego kapitału) z wypchanymi kiesiami dolarów wyjeżdżali do Francji na robotę dywersyjną. Jesienią 1947 r. w USA zwołano konferencję działaczy związkowych.

W konferencji tej brali udział socjalistyczni działacze związkowi Francji. Pod przewodnictwem samego Marshalla konferencja omawiała plan rozbięcia lewicowych Związków Zawodowych. Wkrótce po tym, bo już w grudniu, Generalny Sekretarz L. Juhaux i czterech jego towarzyszy wystąpili z Generalnej Konfederacji Pracy i założyli dywersyjną, współpracującą z imperialistami, organizację zawodową Force Ouvrier. Ogłosili pełną solidarność i poparcie dla planu Marshalla na terenie Francji. Jako prezent za tę akcję rozbijającą otrzymali od agenta AFL Irvinga Brovna 1.000.000 dol. Na kongresie krajowym Force Ouvrier rozbijające zarzucali sobie nawzajem

pobieranie łapówek z tego źródła. W lipcu br. w Oslo odbył się zjazd starej amsterdamskiej międzynarodówki transportowców. Na ten zjazd przyjechało aż 2 agentów planu Marshalla. Wygłosili oni długie referaty o pomocy i dobrodziejstwie Ameryki, a w końcowym apelu wzywali „braci” robotników do poparcia planu.

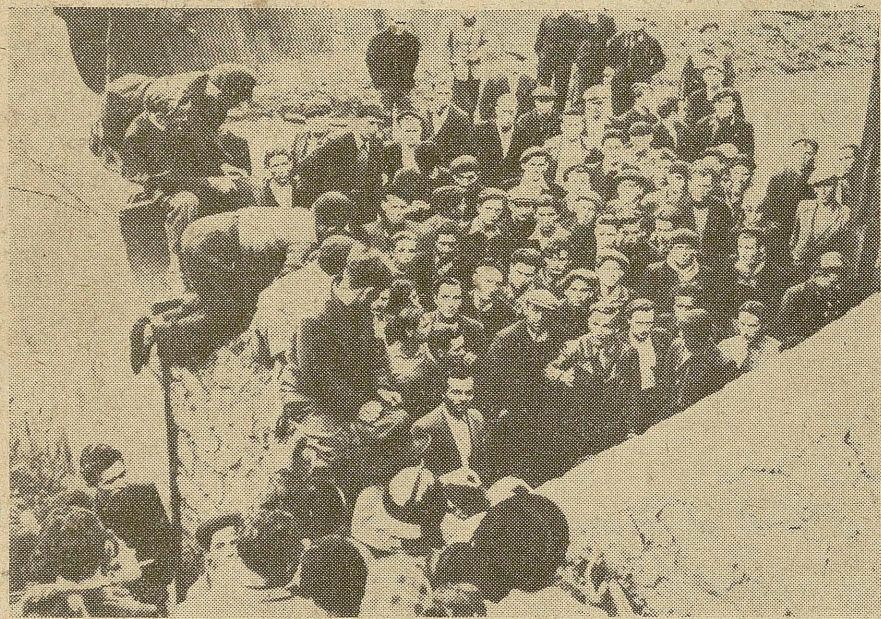
Tuż przed strajkiem górników Marshall po powrocie z Grecji zatrzymał się w Paryżu, gdzie z inicjatywy jego zwołana została nowa konferencja rozbijających Związków Zawodowych. Omawiano tutaj znowu akcję osłabienia wpływu CGT, lecz niewiele to pomogło. Na uchwały konferencji dywersantów robotnicy odpowiedzieli potężną akcją strajkową. Agentom marshallowskim nie udało się ani rozbić, ani osłabić siły zjednoczonej klasy robotniczej. Stoi ona niewzruszenie na straży obrony swoich interesów, które dziś już aż nadto widocznie są interesami całej Francji, jej wolności, dobrobytu i pokoju.

W ten sposób robotnicza klasa Francji rozpoczynając walkę o prawa o życia, walkę strajkową, podważa siły reakcji francuskiej i łamie zamierzenia amerykańskich imperialistów ujarzmienia Francji i uczynienia z niej kolonii i narzędzia wojennego w rękach USA przeciwko ZSRR i krajom ludowej demokracji.

To stanowisko robotników Francji w walce o chleb i wolność z całą siłą podkreślił Krajowy Kongres Związków Zawodowych. 2500 delegatów z całego kraju reprezentowało przeszło 5 milionów robotników. Na tle toczącej się akcji strajkowej górników Kongres Związków Zawodowych podjął uchwałę, która jako program na najbliższy okres została wydana w formie odezwy do klasy pracującej Francji. 8 punktów tej uchwały popieranych przez największą siłę społeczną Francji, ruch zawodowy, to droga, która gwarantuje uzdrowienie stosunków społeczno-politycznych wewnątrz Francji, droga, która gwarantuje spokój wewnętrzny, dobrobyt ludzi pracy, niezależność od anglosaskich imperialistów i wyrwa Francję z rąk anglosaskich imperialistów, a wprowadza na drogę walki o pokój wraz z obozem demokratycznym państw ludowych.

Jest to walka przeciw wyższym cenom, żądanie obniżenia kosztów utrzymania, walka ze spekulacją, obniżenie zysków kapitalistów na rzecz zwykłej pracy robotniczej gwarantującej minimum egzystencji, utrzymanie i poszanowanie praw, które klasa robotnicza dotychczas w ciężkiej walce osiągnęła; uwolnienie z więzień działaczy związkowych i Ruchu Oporu, zaprzestanie dochodzeń sądowych przeciwko strajkującym; poszanowanie demokracji i konstytucji republikańskiej, zaspokojenie słusznych żądań pracujących na terytoriach zamorskich.

W dziedzinie polityki zagranicznej robotnicza klasa Francji żąda zerwania z planem Marshalla, wystąpienia z bloku zachodniego, nawiązania przyjacielskich stosunków ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej, zmniejszenia wojkowego budżetu i zaprzestania wojny w Indochinach żąda odszkodowań wojennych od Niemiec. Uchwalone przez kongres związków zawodowych 8 punktów, zatwierdzone przez lud pracujący w całej Francji, uderzają z całą siłą w pozycję francuskiej reakcji i jej amerykańskich popleczników. Mobilizuje ona przeciwko klasie robotniczej uzbrojone oddziały wojsk kolorowych, używa wszystkich środków, aby złamać ruch robotniczy. W przemysłowych okręgach Francji połała się krew robotnicza, więzienia zapchane są robotnikami, wszystko to dzieje się na rozkaz „socjalistycznych” ministrów, za plecami których stoją marshallowscy agenci. Mimo tego terroru lud francuski zahartowany w ciężkich bojach z kapitałem broni bohaterstwo swoich praw. I spotkał się on w tej walce z poparciem dziesiątków milionów robotników całego świata. W oparciu o międzynarodową solidarność robotniczą, pod kierownictwem bojowej, rewolucyjnej Komunistycznej Partii Francji walczy i odniesie nad wstecznymi siłami reakcji pełne zwycięstwo.



We Francji strajk górników trwa. Mimo wszelkich interwencji policyjnych górnicy nie ustępują. Na zdjęciu: grupa górników zagłębia Loary wysłuchuje bez przekonania przemowy komisarza St. Etienne

i nie tyle we francuskiej reakcji, ile w stojącym za jej plecami z całą swoją potęgą imperializmem anglosaskim.

Była to główna przyczyna dla której lud francuski pod przewodnictwem klasy robotniczej w pierwszym okresie po wojnie nie był w stanie ani rozbić starego, reakcyjnego aparatu państwowego, ani dokonać takich reform społecznych, które z miejsca dałyby przewagę klasie robotniczej nad reakcją. Niedokonanie tych reform na skutek subiektywnych i obiektywnych trudności francuskiej klasy robotniczej, pozwoliło francuskiej reakcji na złapanie tchu w walce z klasą robotniczą.

Stan zniszczeń wojennych Francji i trudności w odbudowie kraju na skutek sabotażu francuskiej reakcji popieranej przez anglosasów był drugą przyczyną utrudniającą walkę klasy robotniczej.

Wreszcie trzecią, jedną z najważniejszych było rozbięcie klasy robotniczej i zdrada socjalistów, którzy weszli do współpracy z blokiem proamerykańskim przeciwko najsilniejszej partii komunistów popieranej przez liczącą przeszło 5 milionów członków Generalną Konfederację Pracy.

Półowiczność i wąski zasięg dokonanych reform, jak nacjonalizacja kopalń węgla i niektórych banków, nie podważyły dostatecznie siły ekonomicznej i politycznej „200 rodzin”, co pozwoliło wspieranym przez anglosasów siłom reakcji po chwilowym osłabieniu podnieść na nowo głowę i uderzyć na pozycję klasy robotniczej.

Jeszcze w okresie kiedy de Gaulle był u władzy, pod naciskiem mas ludowych francuska reakcja zmuszona była przeprowadzić nacjonalizację kopalń węgla, niektórych fabryk przemysłu stalowego, maszynowego i banków, jakie w czasie okupacji powiązały się z koncernami niemieckimi. Nacjonalizacja ta była jednak półowiczna. W przemyśle węglowym wywłaszczonym baronom zagwarantowano odszkodowanie za wywłaszczenie, oraz rentę w wysokości 8 franków od każdej wydobytej tony węgla, co przy rocznym wydobyciu około 50 milionów ton dawało francuskim przemysłowcom blisko 400 milionów franków rocznego dochodu bez żadnego ryzyka i wkładania kosztów inwestycyjnych. Pozostawiono również wywłaszczonych przemysłowców i bankierów w radach nadzorczych i zarządzających przedsiębiorstw, dając im możność uprawiania sabotażu i niezliczonych prowokacji w stosunku do klasy robotniczej, która z ofiarnością i z zapałem przystąpiła do odbudowy Francji.

Już w roku 1946 mimo wielkich zniszczeń w czasie wojny, dzięki pracy francuskiego robotnika, wydobycie węgla i produkcja stali osiągnęły poziom przedwojenny, a w transporcie i innych gałęziach gospodarki narodowej poziom produkcji był bliski przedwojennego okresu.

Dochód z podniesionej produkcji nie dochodził jednak do rąk robotnika. W miarę jak rosły zyski fabrykantów i bankierów obniżała się stopa życia robotnika.

W roku 1938 udział kapitalistów w narodowym dochodzie Francji wynosił 29 procent, w roku 1948 podniósł się do 42,5 procent, gdy w tym czasie udział w dochodzie narodowym robotników zmalał z 45 procent w roku 1938 na 38 procent w 1948 r.

W porównaniu do roku 1938 stopa życiowa robotników obniżyła się o 49 procent, płace podniosły się ledwo 10 razy, gdy dochody kapitalistów powiększyły się 30-krotnie.

Pierwsze 3 miesiące roku 1948 dały 400 mi-

liardów zysków kapitalistom. Przypuszczalny zysk kapitalistów w bieżącym roku w związku z postępującą stale wyższymi cenami wyniesie ponad trzy tysiące miliardów, gdy na wyrównanie płac robotniczych do minimum egzystencji wystarczy 400 miliardów franków. Pozostałyby jeszcze kapitalistom zyski przeszło 2500 miliardów franków, gdyby rząd premiera Queuille zgodził się zaspokoić słuszne żądania robotników. Ale rząd, wierny sługa kapitalistów, na rozkaz amerykańskich monopolów nie chciał zaspokoić żądań robotniczych. Miał podwyższyć płace robotnicze rząd podniósł

Aby pokryć tak olbrzymią sumę w budżecie, rząd podwyższył ceny elektryczności, kolei, metra, benzyny i wielu innych artykułów pierwszej potrzeby, nie natomiast nie uczynił aby podnieść równocześnie płace robotnicze.

W tych warunkach robotnicza klasa Francji nie miała innego wyjścia jak uchwycić za ostatnią broń, broń strajkową.

Fala strajków zalała całą Francję. Przeszło 4 miliony robotników w strajkach protestacyjnych wyraziło swoją solidarność z górnikami, którzy od miesiąca trwają w strajku, a włókniarze i metalowcy zażądali podwyżki zarobków od 5 listopada.

Premier Queuille powiedział oficjalnie, że strajk górników kosztuje Francję dziennie 600 milionów franków straty. W odpowiedzi premierowi sekretarz Komunistycznej Partii Francji Maurycy Thoréz podał, że zaspokojenie żądań górników kosztowałoby 500 milionów franków miesięcznie.

Zdawałoby się, że nic bardziej korzystniejszego, jak załatwić słuszne żądania robotników.

Lecz ta gra wybiega znacznie dalej poza płace robotnicze.

Za reakcyjnym rządem Francji stoją amerykańscy imperialiści. Oni nakazują rządowi walkę z klasą robotniczą, z ich rozkazu zbrodniczy Moch wyprowadza kolorowe pułki i każe strzelać do robotników.

Dlaczego imperialiści amerykańscy tak brutalnie wkraczają do spraw wewnętrznych Francji? Dlaczego usiłują złamać walczącą klasę robotniczą Francji?

Amerykańscy imperialiści przy realizowaniu swojego planu gospodarczego, a co się z tym wiąże i politycznego opanowania Europy, właśnie we Francji spotkali się z zaciętym oporem francuskiej klasy robotniczej.

Francuska klasa robotnicza, walcząc z rodną reakcją **demaskuje jej konszachty z Amerykanami**. Demaskuje zaprzędawanie zakładów pracy Amerykanom, którzy zamykają je, lub dopasowują do potrzeb swojego przemysłu, aby w ten sposób pozbyć się konkurenta we francuskim przemyśle. Ta amerykańska polityka doprowadza Francję do bezrobocia, obniżenia produkcji, czyni z Francji półkolonię, która zamiast rozwijać własną, narodową gospodarkę, winna tylko produkować kosmetyki dla bogatych Amerykanów.

Dlatego Amerykanie sabotują dostawę węgla z Niemiec do Francji, aby Francja nie mogła w swoich piecach hutniczych przetopić rudy lotaryńskiej i zmuszona była odesłać ją do pieców Siemens w amerykańskiej i angielskiej strefie okupacyjnej. Dlatego Amerykanie chcą zwięzić we Francji produkcję samochodów, maszyn, a szczególnie samolotów.

Przemysł lotniczy w USA ma w tym roku 123 miliony dolarów deficytu. Aby pokryć go USA musi sprzedać do krajów marshallowskich 1160 samolotów i dlatego z kolei przemysł lotniczy francuski musiał zmniejszyć swą produkcję z 1959 aparatów w roku 1946 na 800 w r. 1948. A że równocześnie zmniejsza się liczba zatrudnionych z 95.000 na 52.000, że w tej gałęzi przemysłu jest przeszło 40.000 bezrobotnych — to nie obchodzi dobrodziejów marshallowskiego planu.



Strajkujący górnicy budują zapory przeciwko policji i bojówkom gaulistowskim

Mieczysław Grad

Kmieco – kapitalistyczna młodzież „warstwy chłopskiej“^{*)}



Święto ludowe

W okresie od r. 1900 do Wielkiej Wojny liczba gospodarstw kmieco-kapitalistycznych we wsi W. maleje blisko 5 razy! Liczba gospodarstw średniackich wzrasta w tym samym czasie dwukrotnie. Liczba biedniaków zwiększa się o 1/3, a kuczniicy utrzymują się „w normie”. Jeżeli więc w r. 1900 najliczniejszą klasę wśród ojców rodzin stanowili kmiecie, których było znacznie więcej niż średniaków, a biedniaków było dwa razy więcej niż kuczniaków, to już za lat kilkanaście średniaków jest blisko dziesięć razy więcej niż kmieci, a biedniaków trzy razy więcej niż kuczniaków.

Do Ameryki wyjechała w omawianym okresie blisko 1/5 mieszkańców wsi. Byli to w większości biedniacy, którzy w ogóle obraz wsi ze stałą tendencją rozdrabniania gospodarstw i ogólnym pogarszaniem się losu materialnego prawie wszystkich mieszkańców z wyjątkiem samego wierzchołka kmieckiego. Kmieć o zwiększającej się licznej rodzinie w miarę dorastania dzieci spadał do poziomu średniaka i zupełnie łatwo dożywał chwili, kiedy jego dzieci w najlepszym razie były średniakami, a wnuki, już w zasadzie, biedniakami. Natomiast do owego kmieckiego „wierzchołka” należeli kmiecie o większych gospodarstwach i mniejszych rodzinach. W tych wypadkach, nawet przy średniej rodzinie można było podnosić swój los materialny poprzez intensyfikację kultury rolniczej i wzmocnienie hodowli. Tym się właśnie tłumaczy fakt, że od założenia Kółka Rolniczego w r. 1904 wieś poczyniła szybkie postępy w technice produkcyjnej (1900 r. niecałkiem jeszcze żelazny pług, 1910 — już pierwszy traktor).

Do kogo zwrócił się nauczyciel z projektem założenia Kółka Rolniczego (1904 r.)? Przecież nie do proletariatu (kuczniaków), który żył w skrajnej nędzy często chodząc bez butów. Ani nie do biedniaków, bo cóż to za rolnik z dwoma — powiedzmy — morgami gruntu zmuszony dorabiać u bogatego sąsiada? Zwrócił się oczywiście do tych najbogatszych, którzy by idee postępu najłatwiej mogli pojąć, do tych najbogatszych, których by było finansowo stać na podjęcie we wsi jakiejś roboty, do tych najbardziej wpływowym i posiadającym władzę, którzy by potrafili przeprowadzić we wsi swoją wolę nawet przeciw ewentualnemu oporowi. Byli to zresztą ludzie z towarzyskiego kręgu nauczycieli. Jeżeli czasem wypili z kimś przy niedzieli, to właśnie z którymś z nich. Od nich też otrzymywał najhojniejsze upominki przy „zapisach” dzieci do szkoły. Kółko Rolnicze, które obok gminy i szkoły stało się dla wsi W. oknem na szerszy świat, stało się więc instytucją kmiecia. Kmiecie to założyli we wsi sklep spożywczy i wyszynk, likwidując w ten sposób monopol i przewagę karzmarza, siedzącego monopolu nad czasów głębokiej pańszczyzny.

Kółko Rolnicze przyszło do wsi W. na fali ruchu politycznego księdza Stojałowskiego. To przecież ksiądz Stojałowski był głównym inicjatorem i apostołem ideologii włościańskich kółek rolniczych, które miały „wciągnąć ten lud do pracy, obudzić jego własną czynność... pokierować jego własnym działaniem”.

Musi więc iść popęd i porada z góry, ale praca i postęp musi być czynnikami z dołu¹⁾.

Właśnie ów nauczyciel, który zainicjował miejscowe Kółko Rolnicze, był ramieniem księdza Stojałowskiego na terenie wsi W., był transformatorem tego popędu z góry. Do wsi W. ruch ludowy ksiądz Stojałowski w postaci „Wienca i Pszczółki” oraz Kółka Rolniczego dotarł dopiero w ćwierć wieku od swoich narodzin! I to dotarł tam wówczas, gdy istniało już Polskie Stronnictwo Ludowe założone przed dziewięć laty na kongresie

w Rzeszowie oddalonym zaledwie o 25 km od wsi W. (w kierunku południowo-zachodnim). Ruch Stojałowski dotarł do wsi W. wtedy, kiedy w P.S.L. był już sławny chłopski trybun Jan Stapiński, który na terenie pobliskich powiatów nie mało ruchu narobił jeszcze w r. 1889, kiedy znaczenia politycznego dorabiał się Wincenty Witos, i istniały już Narodowa Demokracja i PPS. Ruch Stojałowski dotarł do wsi W. w owym brzościennym roku 1904, roku ukazania się książki Jakuba Bojko.

„Chcę pisać o was, moi bracia chłopcy, coście po naszych spracowanych plecach przy pomocy chłopskich krup i jagiel i tego czarnego chlebusia wydrapali się na święty stopień kapłański, a nawet i biskupi... Hola, dzieci!... Wy za nasz chleb kamieniem nas bić chcecie? W was tchnięto duszę niewolniczą!... Wy pragniecie słuchać biskupów, ale my w rzeczach świeckich — nie. My o swe prawa bez was walczyć musimy i będziemy”. Tak pisał już Bojko w „Dwóch duszach” owego 1904 roku. Bojko proklamował rozbrat z politycznym patronatem „braci starszych” (dworu i plebanii), głosił zerwanie

z feudalizmem, bo oddzielenie Kościoła od spraw świeckich wsi. Wolność chłopca od pełnego obywatelstwa w ramach kapitalistycznego systemu. „A ciebie chłopie jak podatek i procenta a kapitał regularnie płacisz, jak rekruta a powinności gminne odrobisz... toś pan całą gębą i jedna tylko śmierć cię z domu wypędzić może a zresztą nikt. Słyszysz? Nikt, nawet sędzia, nawet biskup, nawet minister, nawet król nie może cię wypędzić... ale czy ty masz odwagę cywilną do twojego dzisiejszego państwa i przy tym prawie, jakie ci przysłużył...”

Już w r. 1890 przyszło do ostrego ideologicznego starcia między Stojałowskim i Stapińskim przy okazji zjazdu chłopskiego towarzystwa parcelacyjnego w Wadowicach. Stojałowski pisał w swojej „Pszczółce”:

„1) Czy p. Wysłouch, Stapiński i towarzysze wierzą w Pana Naszego Jezusa Chrystusa, że jest Bogiem prawdziwym i Zbawicielem świata?”

2. Czy wierzyć w Kościół święty katolicki, którego posłańcem i najwyższą głową jest Namiestnik Chrystusa, Papież rzymski?

3. Czy wierzyć, że 10 przykazań Bożych jest fundamentem sprawiedliwości i podstawą społecznego ładu?

4. Czy wierzyć, że prawdziwą dźwignią ludzkości jest łaska Boża poświęcająca i wspomagająca i jej źródła: siedem świętych Sakramentów Kościoła?

5. Czy chcecie pracować dla dobra Matki Ojczyzny Polski w duchu naszej tradycji narodowej (podkreślenie moje — M. G.) — i potępiacie potępione przez Kościół zło zasad socjalizmu?

6. Czy chcecie poprawy stosunków społecznych nie za pomocą socjalistycznych przewrotów, nie za pomocą rewolucji i tajnych związków, ale przez wykonanie chrześcijańskiego prawa miłości i postępu oparty na zasadach katolickich?

Oto nasze pytania. Jeżeli na te pytania nie dacie odpowiedzi jasnej i stanowczej — a odpowiedzi takiej, jaką każdy katolik na nie dać powinien, wtedy powiemy, żeście wilcy w owczej skórce i walczyć przeciw nam będziemy do upadłego, tak jak walczyliśmy dotąd przeciw fałszywym konserwatystram²⁾.

*) „Wieniec i Pszczółka” z 8.6. 1890 r.

Antoni Marcinek

Na drogach walki klas

Drukujemy poniżej wypowiedź z terenu. A. Marcinek należy do młodych, „samorodnych”, samouczkich talentów. Poniższe refleksje i impresje pokazują jak na „zapłociu” odbija się już hasło nowego etapu Polskiej Ludowej. Jak pobudza do przeformowania, nie solidarystycznego, pozaklasowego widzenia wsi.

Jesteśmy wychowani w świecie kapitalistycznym, w którym na każdym kroku spotykaliśmy się z wyzyskiem. Pomimo, że patrzyliśmy na to, lecz jakbyśmy tego nie widzieli, nie odczuwaliśmy.

Patrzyliśmy na wyzysk dziedzica, bogacza, chłopca, lichwiarza i wielu wielu innych, jak patrzy żołnierz na polu walki na ginących wokół żołnierzy... Patrzyliśmy, ale cóż z tego żeśmy patrzyli? Cóż z tego, gdybyśmy nie zrozumieli zasad tej niesprawiedliwości wyzysku i nie zaprotestowali?

Mało tego, człowiek wychowany w duchu kapitalistycznym, chociaż sam był biedakiem, a więc ofiarą wyzysku, to zamiast zaprotestować przeciw wyzyskowi — sam marzył, żeby zostać wyzyskiwaczem:

„Ach, żeby tak dorobić się, zgodzić sobie parobka do roboty, a żonę swą dziewczkę”.

Dziedzie, posiadający kilka folwarków postanowił oddać parę folwarków w dzierżawę — będzie to wygodniej dla niego — za dzierżawę otrzyma czysty „zysk”, nie potrzebuje mieć styczności z biedotą folwarczną — niech dzierżawca użera się z tą głodną masą, mnie wystarczy jeden majątek z najpiękniejszym pałacem...

Dzierżawcy, żeby się dorobić, a z biegiem czasu „na własność” kupił sobie taki folwarczek: popędził służbę, zlecił służbę wynagradzał, słowem „wyciskali soki”, bo jak mówi przysłowie: „Gdy dzierżawca bogacie — z robitnika pot się leje”.

Nadchodzą żniwa — dzierżawca zmniejsza służbę, żeby tyle nie płacić, ale teraz na żniwa musi nająć żniwiarzy, żeby sprzątnąć zboże. Lecz to nie było dla niego zmartwieniem, małorolnych we wsi dużo, więc „zleca się i robią”.

Po takiej zgodzie — robitnik spekulant — idzie do swoich towarzyszy i mówi, że zgodziłem się na akord wykosić zboże — chodźcie zemna, to zarobicie sobie: będę płacić tyle a tyle..., a więc obliczy po tyle, żeby samemu z każdego zarobić. Ażby drudzy nie poznali się, że on ich wyzyskuje — to razem z nimi on również kosi, ale zarabia dwa, trzy razy więcej od swoich kolegów. Te „wiecej” co to jest? — wyzysk. Takich przykładów jest bardzo wiele: na wsi, w mieście, a nawet w lesie przy robotach leśnych, lecz najczęściej ten wyzysk występuje w handlu, gdy towar przechodzi od producenta „drogą pośrednią” — do konsumenta... — o tym każdy dobrze wie, bo każdy odczuł na własnej skórze

Ważymy książeczkę z bajeczkami, by się dowiedzieć: co wstrzykiwano w dziecięce duszyczki...? Przerzucamy kartkę po kartce, czytamy tytuły bajek: wszędzie królewicze, zaczarowane królewny, bogaci kupcy i tym podobni..., a gdy zaczniemy czytać te bajeczki odkrywamy w nich zasadę nierówności klasowych... wszędzie przepych, od złota brylantów aż się mieni, od sutych pańskich potraw aż się stoły uginają, a słudzy, poddani kłaniają się „w pas”...

Czasami biedna sierotka występuje w bajeczce w roli bohaterki, ale jaką rolę ten bohater odgrywa? Ano: — pasie owieczki, lub krówki. Ale czyje pasie?... „zamożnego gospodarza”, lub dziedzica... Ale za to, że pasie, ten zamożny gospodarz, lub dziedzic nie kupił tej sierotce bućków, ciepłego ubranka, nie dał jej dobrego jedzenia... I tego pisarz kapitalistycznego świata nie raz nie widzi, a cóż widzi? — Widzi sierotkę drżącą z zimna, zachwyca się melodią fujarki, a w końcu widzi duszyczkę, którą „bieda z ciała wygnała” i ta duszyczka wędruje prosto do nieba, do Bozi, do wieczystego szczęścia!

Byłem na filmie produkcji radzieckiej. Film dla dzieci: — bajeczka. Bohaterem tego filmu był syn ubogiej wdowy, który czerpiąc wodę w wyrąbanym otworze stawu — złowił szczupaka... Chłopiec uciekł się bardzo, bo w domu nie było co ugotować... Szczupak zaczął prosić chłopca, żeby go puścił, a za to przysięgnął mu, że wszystko czego zażąda będzie miał, a więc zlitował się chłopiec — puścił szczupaka... ale za to, co zażądał, to się stało. Zainteresowała mnie dalsza treść filmu, gdy chłopiec dowiedział się o królownie „Plaksidzie”, która zawsze płakała, a król, ojciec jej, ogłosił, że ten kto ją rozśmieszy — ten jej mężem zostanie...

Gdy chłopiec przyjechał do zamku królewskiego... — myślałem: Co się stanie, gdy „rozśmieszy” „Plaksidę”? Co się stanie?... Czy królem zostanie?... Czy zasiądzie na złotym tronie, w złotej koronie, a słudzy i poddani będą mu się „kłaniać w pas...”. Czy ten chłopiec porzucił życie, którym żył... zerwie z otoczeniem swojej klasy?... Byłem przygotowany do krytyki, że jeśli nastąpi to, o czym powyżej nadmieniam — nie będzie to literatura socjalistyczna, ale kapitalistyczna... Lecz stało się inaczej — chłopiec rozśmieszył „Plaksidę” — porwał ją, a raczej ona sama wskoczyła na pięć, na którym on przejechał i uciekł z zamku królewskiego... Uciekli pomiędzy lud, gardząc tronem, złotą koroną, pychą i zbytkiem świata wyzysku.

Brawo pisarze radzieccy! — takich pisarzy świat pracy żąda. Literatura Związku Radzieckiego jest na wysokim poziomie: pozbyła się cech świata kapitalistycznego, wywyższenia lub „poniżenia”, a przyjęła cechę „zrównania”.

W ciętej odpowiedzi Stapińskiego zamieszczonej w „Przyjacielu Ludu” znalazło się między innymi takie zdanie: „Nie wiem skąd ksiądz Stojałowski wie, że ja w Boga nie wierzę. Ja bym prędzej powiedział, że on nie wierzy, bo on tylko obraża Pana Boga, mieszkając Go do takich brzydkich spraw i zasłaniając Nim swoje różne postępy” (podkreślenie moje — M. G.).

Tymczasem w chwili zakładania we wsi Kółka Rolniczego w r. 1904 istniały na terenie wsi W. stosunki, które wymagały, by na drodze postępu z feudalizmu w kapitalizm wieś przeszła wprawdzie przez (mocno już, wobec sytuacji na wielu innych galicyjskich wsiach, zapóźniony) etap stojałowszczyzny. Na drodze bowiem do wykrystalizowania się świadomości klasowej proletariatu i biedniaków stał feudalny system powiązań kmieci i działołw w poprzek podziałów klasowych.

Taki kmieć miał wokół siebie pewną ilość rodzin działołwskich, które związane z nim były zależnościami nie tylko ekonomicznymi, ale także kulturalno — obyczajowymi, bazującymi na tych pierwszych. Odchodzący od kmiecia parobek otrzymywał „kołędę” w postaci tzw. „kołacza”, który oczywiście przez obie strony uważany był za prezent. W czasie żniw całe rodziny działołwskie z niemowlętami włącznie przybywały na kmiecie gospodarstwo, przy czym żywienie nieproduktywnych (na razie) działołwskich dzieci liczone było kmieciowi jako gest wielkodusznego miłosierdzia. W razie zachorowania działołw kmieć dawał darmo furmanke po księdza, podobnie na pogrzeb (ale już furmanke po doktora wymagała odróbki). Kiedy działołw urządził wesele, lub chrzciny, kmieć obowiązany był według starodawnego obyczaju użyć mu furmanki, ale z kolei jemu należało się poczęstunek. Kmieć był więc patronem „swoich” działołw. Ażby zapewnić sobie jego „opiekę” działołw zwykle prosili kmieci i ich żony za kumów i kumeczki. W ten sposób cała niemal wieś dzieliła się w świadomości jej mieszkańców na klasową, ale na jakiejś kmiecio — kumoterskie rejony, w których pomiędzy kmieciami i działołwami utrzymywały się stosunki tak bardzo podobne do stosunków pomiędzy feudalnym suzerenem i jego wasalami. Stosunki więc niepokładły średniowieczne wewnątrz samej wsi³⁾. One to skutecznie hamowały proces narastania świadomości klasowej biedniaków i proletariatu, zwłaszcza że bardzo mocno usztywniała je kilkunastoletnia tradycja wsi pańszczyznianej, wsi odległej o 6 km od Łańcuta, rezydencji hrabiów Potockich, o których kluczu złożonym z wielu folwarków okilkuset tysięcy hektarów ziemi rozpowiadano wieczorami we wsi W. z niesłabnącym zainteresowaniem.

Działołw, tzn. klasy proletariackiej i biedniackiej w okresie zakładania Kółka Rolniczego w W. podlegali tam straszliwemu wyzyskowi zarówno publicznie jak prywatnie. Ledwie taki odrósł od ziemi, szedł do kmiecia za pastucha do pasienia krów, a także do innych posług gospodarskich, jak obieranie kartofli, przygotowywanie karmy dla świń itd. Po tak spędzonym dzieciństwie, które pozbawione było radości i uśmiechu, pastuch stawał się parobkiem, którego twarde dzieło robocze rozpoczynał się już o 3 rano. Nie mając perspektyw na założenie własnej rodziny z powodu braku warsztatu pracy nie raz całe niemal życie służył u kmiecia, jako parobek. A jeżeli się ożenił, to nie tylko odbierał zagony (za jedną „rówkę”) pracowało się jeden dzień przy żniwach, ale jeszcze uprzednio przysięść musiał do kmiecia z wodką, żeby ów dał zagon na odrobek jemu, a nie innemu działołwu.

Ta kmiecia przewaga dawała się odczuwać także w życiu publicznym wsi. Nie tylko Kółko Rolnicze założyli kmiecie, a w roku 1911 Kasę Stefczyka pod hasłem walki z lichwą. Kmiecie faktycznie, a nawet do pewnego stopnia formalnie radzili wsią. Aż do r. 1919 we wsi obowiązywała galicyjska ordynacja przy wyborze radnych do samorządu gminnego. Wyborcy dzielili się na 3 „koła”: do pierwszego należeli kmiecie, do drugiego średni gospodarze, a do trzeciego małorolnicy. Dla kuczniaków nie było koła, ci w ogóle nie mieli prawa głosu!

Rada gminna i wójt w ten sposób wybrani prowadzili we wsi politykę w interesie klasy kmieco-kapitalistycznej. Np. szarwark ustalało się nie według wysokości podatku, ale według „numeru”.

Szkola, która przed kilku laty została otwarta, choć formalnie dla wszystkich, to przecież faktycznie była narzędziem postępu przede wszystkim dla kmieci. Kmiecia stać było na to, by dziecko ubrać, kupić mu „tabliczkę”, „rysik”, elementarz i posłać do szkoły, podczas gdy dziecko proletariackie czy biedniackie albo w tym czasie musiało paść kmiecie krowy, albo z braku odzieży i obuwia — zwłaszcza zimą — przykute było do pryzypieka. Cały świat, zdawało się, był za kmieci, a przeciw działołwom.

Jeżeli więc trafiło się nawet, że któryś z biedniaków wybrany został do rady gminnej, to musiał głosować tak, jak chcieli kmiecie. Niechby spróbował inaczej! Pazu-

³⁾ Por. także analogiczne stwierdzenia Czarneckiego w „Podłożu ruchu chłopskiego” — w tomie „Społeczeństwo — kultura”.

⁴⁾ Część zagona.

1) „Wieniec i Pszczółka” r. 1882 Nr 10, str. 74.

2) Patrz prace M. Grada: „Wies” nr 43 — „Walka klasowa na wsi rzeszowskiej”; „Wies” nr 44 — „Wies W. na społeczno-gospodarczej mapie świata”; „Wies” nr 46 — „Struktura klasowa wsi w XX wieku”.

rami chyba musiałby sobie własny kawałek pola zaorać, a pniaki z lasu to chyba taczakami przywieźć. W tym układzie stosunków na wsi W. w początkach XX wieku historia polityczna zaczęła się, rzecz jasna, od „Wienca i Pszczółki” i Kółka Rolniczego, do którego poszli kmiecie, by pod patronatem szlachty i Kościoła robić we wsi „ruch” we własnym kmiecio-kapitalistycznym interesie.

Tymczasem stopniowo do wsi W. powracali reemigranci z Ameryki. Niekiedy przeciw wyjechali tam jeszcze przed rokiem 1900. Dwaj zwłaszcza z nich, oczywiście też kmiecie, ale tacy, którzy musieli jechać aż na drugą półkulę, aby uratować swą kmiećność zagrożoną podziałami rodzinnymi, pomnożyli wydanie siły miejscowego aktywu „kółkowego”, reprezentowanego dotąd przez zasiedziałych kmieci: jednego dwudziestopięcioletniego, drugiego — piętnasto- i trzeciego — jedenastomorgowego. Kmiecie reemigranci, którzy przeciw zwiędzili kawał „świata”, byli na wozie i pod wozem — nie mogli jakoś doposażyć się do tej księgi sielanki. Złazłszy że jeden z nich, dorabiający się około roku 1907 znaczenia na terenie Kółka Rolniczego, przywlokł z Ameryki poglądy zgoła wywrotowe w sprawach... religijnych. Nie tylko przestał być wiernym synem Kościoła katolickiego, ale nawet posuwał się do kwestionowania sensu wszelkiej religii. Stał się bojowym „heretykiem” czy też „lutrem”, tak go bowiem ochrzciły baby zorganizowane (a jakże) w „rozańcu”. Ze ten niedowiarek osiągnął rozgłos przekraczający znacznie granice wsi W., świadczy fakt, iż sam ksiądz prałat z Łańcuta odwiedził go, ponawiając później kilkakrotnie swoje wizyty, które zapewne miały doprowadzić, jeżeli już nie do nawrócenia zbłąkanej owieczki, to przynaj-

mniej do zlokalizowania tej groźnej „zarazy”. Reemigranci pierwsi zaszczerpiali we wsi W. ideologię świeckiej, liberalnej samodzielnosci. Przenikając do „kółkowej” elity szereżyli tam urok kapitalizmu. Rozbudowując swoje gospodarstwa za przywiezione z Ameryki dolary, stali się apostołami kapitalistycznej przedsiębiorczości. Oni to okazali się najbardziej wrażliwi na polityczne przywileje obszarników i klerykalne patronactwo. W tej atmosferze przyjął się we wsi około roku 1908 „Przyjaciół Ludu”, z którego do kmieci z W. przemówili: Stapiński i Witos. Złazłszy Witos zaczął sobie zyskiwać autorytet. Oto jak na przestrzeni kilku zaledwie lat kmiecia czołówek wsi W., zapóźniona w roku 1904 jeszcze o ćwierć wieku, błyskawicznie podciągnęła się. Jak podskoczyła do góry klasowo — polityczna świadomość kmieci z W!

Gdzie jednak mogła się skierować kapitalistyczna ekspansja kmieci, skoro kmiecie rodziny miały duży przrost naturalny, doprowadzający do rozdrabniania kmieciowych gospodarstw. Szła ona głównie w trzech kierunkach:

Po pierwsze — kmiecie rozrastali się wszędzie i w ten sposób także średniackie rodziny pochodzące z kmieciowych wiązały się w polityczne rody, występujące solidarnie na terenie wsi i poza nią.

Po drugie — kmiecie uintensywniali swoją gospodarkę (od niezupełnie żelaznych plugów z r. 1900 do kieratu w r. 1910, to przecież postęp olbrzymi) i kierowali ją na bardziej zyskowne tory hodowli.

Po trzecie — próbowali posyłać dzieci do szkół i w ten sposób przenikali do miasta do drobnomieszczaństwa. Ale i tu awans ich

był specyficznym galicyjski, nie podobny do analogicznych awansów na Zachodzie. Żaden nie został inżynierem i przedsiębiorcą. Naukowcy, księża, urzędnicy, oficerowie. I tu skok do inteligencji nie tracił tradycji stano- wych (inteligencja poszlachecka, „narodowa”, nie — przemysłowa).

W tym okresie, tj. przed pierwszą wojną światową, również biedota otrzymuje zastrzyki dolarowe od krewnych w Ameryce. Wśród biedoty poczyna rosnąć „mit parceli” mimo jej malenia. Jest to mit wyzwalaający z feudalizmu, już liberalistyczny. Nie mając możliwości przejść do przemysłu biedniacy poczynają żyć ambicją posiadania ziemi. Tej ziemi! Jest w stosunku do ludności coraz mniej, mimo to czepia się jej właśnie kurczowo idea kapitalistycznej własności, bo nie ma innego wyjścia w półkolonialnej Galicji.

Historyczny pochod wsi W. z feudalizmu w kapitalizm rozpoczęli więc kmiecie. Ow „ruch we wsi” był zdecydowanie kmiecio-kapitalistyczny w swej istotnej treści klasowej. Ale nie występował, rzecz jasna, pod klasowym sztandarem. Podobnie jak polityczny ruch francuskiej burżuazji w okresie Wielkiej Rewolucji (jeśli wolno tak różne skale zestawiać) głosił nie klasowe hasła, lecz **powszechną, ogólnoludzką Wolność, Równość i Braterstwo**. Ale realizacja tych powszechnych haseł dawała burżuazji klasową hegemonię.

„Bracia chłopie!” — wołali Stapiński i Witos, których przemówienia i artykuły w „Przyjaciół Ludu” rozpałały serca i podnieciły wyobraźnię „kółkowców” z W. To był apel do wszystkich chłopów niewątpliwie za-

interesowanych w likwidacji barier feudalnych, przywilejów i hegemonii obszarnictwa i kleru, mimo utajonej walki klasowej wewnątrz samej wsi. Apel do tzw. „warstwy chłopskiej”, na której obliczu kmiecie z W. wyciskali natychmiast swój klasowy stem-pel.

Charakterystyczny był we wsi W. odzew na rozłam w Polskim Stronnictwie Ludowym w roku 1913. Sympatie zdecydowanej większości kmieci były po stronie Witos. Natomiast kilku z owym amerykańskim „heretykiem” na czele poparło Stapińskiego, bo w Witosie (słusznie) podejrzewali ugodowość wobec obszarników. Oni byli już bardziej zaawansowani w liberalno - kapitalistycznej ideologii: dlatego Witos wydawał im się zbyt konserwatywny. Ale dla zasiedziałyh kmieci i ich rodów zubożałych do poziomu średniaków Witos był prawdziwym, następnym etapem po ks. Stojałowskim. Witos to to, co głosiła broszura Bojki. A Stapiński? Jego już ks. Stojałowski pomawiał o przewroty socjalistyczne, jego właśnie po rozłamie w roku 1913 uderzył Witos oskarżeniem o trzymanie z „socjalistami i postępowcami” i nazwie tę drogę „unurzaniem w błocie” stronnictwa. Kmiecie, którzy na przestrzeni kilkunastu lat sfolgowali dawnym stosunkom patronackim, wchodząc w liberalno-kapitalistyczną organizację produkcji, w tym układzie stanęli w walce już z samymi echami socjalizmu. Echa te niosły siłę rewolucyjną dziadom. Dopiero na tym etapie i jak na wsi W., pod hrabiowskim Łańcutem, dopiero... echa.

(c. d. n.)

Mieczysław Grad

A. Chmura

RZĄD LUBELSKI W 1918 R.

(Co pisała „Nowa Wieś” w r. 1935 o Rządzie Lubelskim w 17 rocznicę)

W 30 rocznicę Lubelskiego Rządu Ludowego przedrukujemy ocenę radykalnej „Nowej Wsi” organu literatów ludowych z r. 1935. Jest ona zbyt jednostronna w krytyce i nazbyt krótką w zasadach nienach, ale słuszna w głównej linii i ważna dziś dla uprzytomnienia czytelnikowi, w jakim stopniu rok 1918 nie powtórzył się w 1944 i 45 r. Na ile dojrzała do rewolucji i prowadzenia Polski do socjalizmu — klasa robotnicza i w sojuszu z nią chłop.

W

nocy z 7 na 8 listopada w roku 1918 ogłoszono w Lublinie Tymczasowy Ludowy Rząd Republiki Polskiej, na którego czele stanął Ignacy Daszyński.

„Nad skrwawioną i zniekaną ludzkością wschodzi zorza pokoju i wolności. W gruzach wala się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarne ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy!”

Tymi słowami określił rząd lubelski w swej proklamacji skierowanej „do ludu polskiego, do robotników, włościan i żołnierzy polskich” ówczesne położenie polityczne.

Światowa wojna imperialistyczna dogorywała pod ciosami wielkich wstrząsów rewolucyjnych, które nie zatrzymywały się na rubieżach starej Rosji, ale przetrwały się na Europie Środkowej i kraje kolonialne. Na gruzach państwa carów zatknięty został sztandar władzy robotniczo - chłopskiej. W rok potem runęły trony pruskich Hohenzollernów i Habsburgów. Narody uciemiężone przez trzy tyrany, które niegdyś rozszarpały Polskę, zdobywały niepodległość. Masy pracujące Niemiec, Polski, Węgier, Austrii itd. rwały się do władzy, aby zbudować nowy, sprawiedliwy ład społeczny.

Dziś owe wielkie wydarzenia polityczne należą do historii. Lecz łączy nas z nimi nie tylko nie żywych wspomnień starszego pokolenia. Odczuwamy i rozumiemy wszyscy, że nasza współczesna rzeczywistość wywodzi się w prostej linii z burzliwego okresu 1917—1919 roku. Rozstrzygało się wtedy zagadnienie: kto kogo zwycięży, lud reakcję, czy reakcja lud? Na wschodzie reakcja została wytrzebiona z korzeniami. Lud stał się tam gospodarzem na swojej, własnej ziemi i zbiorowym wysiłkiem wykupa dla siebie i przyszłych pokoleń nowe życie. Natomiast w krajach Europy Środkowej udało się jeszcze raz zatrumfować reakcji. Toczy się przez nie fala faszyzmu, tej najbardziej reakcyjnej dyktatury burżuazyjno-obszarniczej.

W chwili obecnej, gdy w Polsce rośnie pęd mas do walki przeciw reakcji i kapitalizmowi i coraz powszechniejsze jest wołanie w miastach i wsiach o rząd ludowy, jest na czasie przypomnienie i krytyczne oświetlenie roli lubelskiego rządu ludowego w dziejach ruchu wyzwolenczego polskich mas pracujących.

Wielomówiący był już sam skład osobowy rządu lubelskiego. Oto on: Tomasz Arciszewski, Ignacy Daszyński, Medard Downarowicz, Gabriel Dubiel, Marian Malinowski, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nocznicki, Julian Poniatowski, Edward Rydz-Śmigły, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski, Stanisław Thugutt i Bronisław Ziemiński. Pod proklamacją rządu lubelskiego widniał również podpis Wincentego Witosa, który jednak przez Polskie Biuro Korespondencyjne ogłosił, że podpis umieszczono bez jego wiedzy i że w skład tego rządu nie wchodzi.

Część członków rządu lubelskiego zajmuje dzisiaj czołowe stanowiska w obozie rządzą-

cym, bądź z tym obozem sympatyzuje. Rydz-Śmigły jest generalnym inspektorem sił zbrojnych, Poniatowski ministrem rolnictwa, Downarowicz był wiceprezydentem Warszawy, Malinowski, Sieroszewski zasiadają w elitarnym senacie, Moraczewski jest przywódcą sanacyjnych związków zawodowych Z.Z.Z., Stolarski należy do 15 zdrazieckich posłów ludowych itd. Dubiel jeszcze wcześniej znalazł się w sanacji.

Rząd lubelski był ludowy tylko z nazwy, w swych czynach był jednak antyludowy. Stwarzał on tylko pozory, że działa w interesie mas ludowych, w rzeczywistości kopał grób dla sprawy ludowej i ratował „walące się w gruzach rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarne ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących” (z proklamacji).

Na ziemiach Polski powstawały wówczas żywiołowo komitety robotnicze, chłopskie i folwarczne oraz milicja ludowa. Rząd lubelski nie umacniał tych organów ludowych, nie oparł się o nie jako o demokratyczne instytucje, które w swym dalszym rozwoju mogły wypierać stary aparat okupancko-biurokratyczny, stać się zarodem i podstawą chłopsko-robotniczej władzy demokratycznej. Gruntowne przeobrażenie administracji oddał rząd lubelski na później, przyrzekając na papierze w proklamacji:

„po ukonstytuowaniu się ostatecznym przystąpiemy natychmiast do reorganizacji na zasadach szczerze demokratycznych rad gminnych, sejmików powiatowych i samorządów miejskich, jak również organizowania po miastach i wsiach milicji ludowej...”

A więc najpierw miało nastąpić „ostateczne ukonstytuowanie się” rządu bez określenia terminu i warunków, w których ma to się stać, a potem dopiero „reorganizacja” rad gminnych itd. Nie apel o twórczej inicjatywy mas, nie wskazówka, jak niezwłocznie zlikwidować stary, odziedziczony po okupantach, aparat militarno-policyjny, ale obietnica na nieokreślona przyszłość, za którą ukrywał się dyskretnie zakaz samodzielnego, idącej od mas demokracji. Obietnica nie ziszczyła się naturalnie, a milicję zastąpiła bardzo rychło policja, która likwidowała pod przymusem komitety ludowe.

Sprawa ziemi była drugim zagadnieniem zasadniczym, którym musiał się zająć rząd. Głośno wtedy było wołanie: ziemia chłopom bez wykupu! Chłop sądził, że nadeszła chwila, w której ziszczone zostanie odwieczne jego dążenie do ziemi, z której wywłaszczyła go obszarnicza szlachta. Rozpoczęły się pierwsze próby dzielenia ziemi obszarniczej przez chłopów i robotników rolnych. Partie chłopów do ziemi ma znaczenie nie tylko ekonomiczne. Obszarnictwo jest najbardziej reakcyjną, najbardziej pasożytniczą, najciemniejszą klasą społeczną. Radykalna, chłopska likwidacja obszarnictwa w 1918 r. osłabiłaby niezmiernie cały obóz przeciw-

ludowy, wzmocniłaby stokrotnie siły demokracji, dodawałby jej rozmachu i krępiekiego, nieugiętego oparcia na wsi.

Rząd lubelski przeciwstawił się najelem-tarniejszemu żądaniu demokratycznemu, nie dał chłopom ziemi obszarniczej bez wykupu.

Znow miały obietnice zastąpić realny czyn i uspokoić chłopów. Proklamacja głosiła:

„Na sejm ustawodawczy wniesiemy projekty następujących reform społecznych:

a) przymusowe wywłaszczenie i zniesienie wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddanie jej w ręce ludu pracującego pod kontrolę państwa”.

Ani sejm ustawodawczy, ani sejmy następne sprawy ziemi nie rozwiązały. Jest ona dziś jednym z najbardziej jęczących zagadnień społecznych w Polsce, a sytuacja w chwili obecnej jest taka, że 40 proc. ziemi należy do wielkiej własności, że obszarnicy są dziś głównym oparciem obozu sanacyjnego, że odżywiają robaczywe grzyby średnio-wiecznej szlachetczyzny i wszystkie jej towarzyszące zmyły życia społecznego.

Zahamowanie pędu mas do ziemi obszar-niczkiej jest w oczach ludu grzechem pierworodnym rządu lubelskiego, a głównym tytułem jego zasług wobec klas posiadających.

Rząd lubelski nie naruszył również interesów kapitału i nawet tak niezbędny, doraźny środek ukroczenia orgii wyzysku, jak konfiskata kapitałów powstałych w czasie wojny ze zbrodniczej spekulacji artykułami pierwszej potrzeby i dostaw dla wojska, został odłożony do uchwalenia przez Sejm ustawodawczy. Tak samo postąpił rząd z dążeniem robotników do kontroli nad produkcją, do opieki społecznej itd. Wszystko co dotyczyło najżywniejszych interesów ludu, co zgłotłoby siły reakcji, a wzmogłoby siły ludu, zostało odroczone do nieokreślonej przyszłości, do sejmu ustawodawczego.

Jeżeli z wielką opieszałością odnosił się rząd lubelski do najistotniejszych żądań demokratycznych ludu, to już duża gorliwość wykazał wobec sprawy armii.

„Organizowanie regularnej armii ludowej uważamy za jedno z najpoważniejszych naszych zadań... Tworzenie tej armii wobec nieobecności Józefa Piłsudskiego, powierzamy jego zastępcy, pułkownikowi I Brygady Legionów polskich, Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu”.

Organizowanie regularnej armii, która po przez szereg wojen wcielała w gmach państwa polskiego ziemie na wschód od Bugu i Niemna, a w 1920 r. maszerowała pod wodztwem Piłsudskiego i Rydza-Śmigłego aż hen za Dniepr — organizowanie tej armii było realnym, dotykającym dziełem rządu lubelskiego.

Powie ktoś może: jak można zarzucać rządowi lubelskiemu niedbałość w realizowaniu demokratycznych postulatów ludu, skoro ten rząd istniał zaledwie 4 dni, nie

miał więc po prostu czasu wcielić w życie swoich zamierzeń programowych, nie mógł więc praktycznie wykazać, że dochowa przysięgi, iż „sprawiedliwie ku dobru i pożytkowi ludu” będzie sprawował swą władzę państwową.

Otóż trzeba zwrócić uwagę, w jakich okolicznościach nastąpiła likwidacja rządu lubelskiego. Rząd ten uznał się od pierwszej chwili za centralny rząd całej Polski. W Lublinie miał on przebywać tylko przejściowo, aż do chwili obalenia arcyreakcyjnej Rady Regencyjnej w Warszawie, dzierżącej najwyższą władzę państwową z woli niemiecko-austriackich okupantów i przy poparciu obszarników i wielkiego przemysłu. Rząd lubelski w swej proklamacji z 7 listopada ogłosił:

„Rada Regencyjna, działająca na szkodę narodu polskiego, z dniem dzisiejszym z woli narodu polskiego przestaje istnieć. W razie gdyby Rada Regencyjna oraz rząd, przez nią stworzony, tej woli ludu polskiego nie chciały się poddać, ogłoszone będą za wyjęcie spod prawa. Sciganie i ujęcie w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela państwa polskiego”.

Wydawałoby się z tych słów, że między księżą-kardynałem Radą Regencyjną (w jej skład wchodził: arcybiskup Kakowski, książę Lubomirski i Ostrowski), a rządem lubelskim może trwać tylko nieustępliwa walka aż do upadłego. Było jednak inaczej. 11 listopada przybył do Warszawy brygadier Józef Piłsudski, zwolniony z twierdzy w Magdeburgu. Na dworcu został powitany przez regenta Lubomirskiego. Prezydent rządu lubelskiego, Daszyński, zjawił się w Warszawie i oddał swe stanowisko do dyspozycji Piłsudskiego. Jednocześnie Rada Regencyjna przekazała swą władzę dobrowolnie w ręce Józefa Piłsudskiego, uzasadniając to swoje postanowienie groźącym niebezpieczeństwem zewnętrznym i wewnętrznym, tudzież pływającą stąd koniecznością ujednolicienia wszelkich zarządzeń wojskowych i utrzymania porządku w kraju. W dekreście z 14 listopada podpisanym przez Józefa Piłsudskiego podkreślono jest zakaz przeprowadzenia głębokich zmian społecznych, które uchwalili może tylko Sejm Ustawodawczy.

Rząd lubelski od 11 listopada przestał istnieć. Rozwiązał się dobrowolnie ustępując miejsca nowej władzy utworzonej w porozumieniu z Radą Regencyjną, by przeciwstawić się groźącym niebezpieczeństwom wewnętrznym.

Te skromne swobody demokratyczne, jakie masy uzyskały w 1918 r. były ich własną zdobyczą, owocem ich własnych trudów i walk. Nie były one darem rządu lubelskiego, czy też następnego rządu centralnego w Warszawie. Zamiast oprzeć się bezpośrednio o najszersze warstwy pracujące, przeprowadzić głębokie zmiany gospodarcze i polityczne w interesie tych mas, ówczesni wodzowie ludu z różnych ugrupowań politycznych zbywali te masy radykalnymi frazesami, a jednocześnie konszachtowali z najczarniejszą reakcją.

Rok 1918 nie powtórzył się w Polsce. Lud nauczony doświadczeniami 17 minionych lat daży dziś w zwartych szeregach do takiego rządu ludowego, który naprawdę uczyniwił jego wszystkie żądania.

FRASZKA

O wsi się słyszy najwięcej bujd,
że twarzą do wsi, że rząd, że się zmieni;
a tam jak dawniej — ksiądz, dziedzic, wójt
a chłop? I owszem! U nich w kieszeni!

Stanisław Jerzy Lec

„Nowa Wieś” nr 6, r. 1935.

Władysław Strzemiński

REALIZM W MALARSTWIE

CZY NATURA JEST JEDNOZNACZNA I WYCZERPALNA?

Nie dające się rozłożyć i niepodzielne pierwiastki chemiczne, których liczba wzrasta ciągle jakby na przekór jednoci świata, okazują się dającymi się rozłożyć i podzielnymi (Lenin, Dzieła—wyd. IV ros. str. 238). „Uznanie istnienia jakichkolwiek niezmennych pierwiastków, niezmiennej istoty rzeczy i t. d. nie jest materializmem, lecz metafizycznym, t.j. antydialektycznym materializmem” (tamże str. 248).



Antonio Pollaiuolo (1429–1498): Portret kobiety

„Podzielność atomu, jego niewyczerpalność, zmienność wszystkich form materii i jej ruchu były zawsze podstawą materializmu dialektycznego” (tamże str. 283).

„Myśl ludzka przenika coraz głębiej od zjawiska do istoty, od istoty pierwszego — powiedzmy — rzędu do istoty drugiego rzędu i t. d. bez końca” (Lenin „Zeszyty filozoficzne” 1947 ros. str. 237).

„Istota rzeczy, czyli „Substancja” jest także względna, jest ona tylko wyrazem pogłębienia ludzkiego poznania przedmiotów; jeśli wczoraj pogłębienie to sięgało tylko atomu, a dziś dotarło do elektronu i eteru, to materializm dialektyczny ob staje przy czasowym, względnym, przybliżonym charakterze wszystkich tych drogowskazów poznania przyrody przez rozwijającą się naukę ludzką. Elektron jest w równym stopniu niewyczerpalny jak atom, natura jest nieskończona, ona jedna istnieje nieskończenie” (Lenin, Dzieła T. XIV str. 139).

„Materia ginie” — znaczy to, że ginie etap naszego dotychczasowego poznania materii, że nasze poznanie sięga głębiej. (Tamże str. 274).

Gdzież więc tu jest miejsce na 1) jednoznaczne „realne” określenie przedmiotu i 2) na absolut wyczerpalnej skończonej natury?

CZY REALIZM JEST JEDEN WIECZNY?

Realizm, wszystko jedno w jakim zakresie życia i kultury, jest zjawiskiem ukształtowanym przez rozwój historyczny. Byliśmy w błędzie, określając jeden raz na zawsze dany, niezmienny typ realizmu, obowiązujący dla wszystkich epok, jakiś **absolut realizmu**. Byłoby to sprzeczne z zasadą historycznego kształtowania się wszystkich elementów społecznych. Realizm tak samo narasta, ulega zmianom i przekształceniom w toku procesu historycznego — zmienia treść — jak zmieniła się każda treść w zmienionych warunkach historycznych. Nie ma jednego absolutnego realizmu, realizmu w ogóle; lecz istnieje konkretny realizm, uwarunkowany danymi konkretnymi stosunkami historycznymi. Ten sam realizm — w innych warunkach historycznych — przestaje być metodą ujawnienia rzeczywistości stając się środkiem — jej zakłamywania i maskowania. To zrozumienie względnej, historycznie uwarunkowanej formy każdego konkretnego realizmu — wyjaśni nam, dlaczego rzeczywistość każdej konkretnej formacji społecznej wyraża się tylko przez jeden konkretny, związany z nią, przez nią uwarunkowany typ realizmu.

„Metoda dialektyczna w przeciwieństwie do metafizycznej nazywali Marks i Engels tylko metodą w socjologii, polegającą na tym, że społeczeństwo rozpatrywane jest jako żywy organizm, pozostający w ciągłym rozwoju (nie zaś jako coś mechanicznie sprężyniętego i umożliwiającego zatem wszystkim dowolne kombinacje poszczególnych elementów społecznych); dla badania tego organizmu niezbędna jest obiektywna analiza stosunków produkcji, stanowiących daną formację społeczną, studiowanie, praw jej funkcjonowania i rozwoju” (Lenin, Dzieła wybrane t. I, część I, str. 94–95).

W dużej mierze na ukształtowanie się antyhistorycznego pojęcia realizmu w sztuce zaważyły prace niemieckich historyków sztuki z drugiej połowy XIX wieku. Realizm obrazu oceniali oni na podstawie subiektywnego wczuwania się, czy jest on w dostatecznej mierze realistyczny — co ostatecznie dawało się sprowadzić do innego, ukrytego pytania: czy odpowiada on historycznie uwarunkowanym kryteriom realizmu klasy, której wyrazicielem gustów estetycznych był dany profesor w danym konkretnym okresie historycznym. W ten sposób odbyło się zwykłe oszustwo historyczne. Pod szyldem jedyne i najprawdziwszego realizmu wystąpił

Lecz na to się nie zdobyła społecznie uwarunkowana historia sztuki XIX wieku. I ta jej słabość również była historycznie uwarunkowana.

WIDZENIE XVI I XVII WIEKU

Na pograniczu w. XV i XVI odbyły się w malarstwie doniosłe przemiany. W obrazach poprzedniego okresu kształt każdego przedmiotu jest dokładnie obrysowany, odgraniczony i uwypuklony. Jest to widzenie, nastawione na dostrzeganie wszystkich zjawisk wzrokowych, uwypuklających trójwymiarowość, wypukły charakter bryły każdego wyodrębnionego przedmiotu. Każdy przedmiot występuje, jako odrębna, samodzielna jednostka. Realizm tego typu należałoby nazwać realizmem odrębnych samodzielnych przedmiotów brył.

W malarstwie XVI wieku rozpoczyna się, a w XVII w. dochodzi do rozkwitu **widzenie światłocienne**. Cień staje się głównym środkiem wyrazu, kształtującym przedmiot. Cień zjawia się na wszystkich przedmiotach, zacieraając część konturów i podkreślając inne. Przedmiot posiada miejscami bardzo wyraźnie zaznaczoną granicę, miejscami zaś wtapia się w ciemne tło. Wszystko się wtapia i przeplata, wszystko się wynurza i zanika we wspólnej grze światłocienia. Tak ginie realizm odrębnych przedmiotów, wyraźnie wyrysowanych i dokładnie uwypuklonych trójwymiarowych brył, a na jego miejsce przychodzi realizm — już nie wyodrębnionych jednostek, lecz **wtopionych** we wspólną materię światłocienia i zależnych od światła i cienia, załamujących się na nich. Tak ginie jeden etap wzrokowego poznania świata, zastąpiony przez inny.

Zdawałoby się (dla nas, obecnie), że cień jest takim samym obiektywnym składnikiem widzenia, jak wszystkie inne, że używanie światłocienia jest czymś rozumiejącym się samo przez się, że nie ma nic naturalniejszego, niż odtwarzać na obrazie całą skomplikowaną grę światła i cienia i jego rozmaitych nasleń. Pogląd ten nie jest jednak tak „naturalny”. Został on historycznie ukształtowany na przełomie wieków XV i XVI.

Rzecz jasna — cień istniał zawsze. Lecz jeśli włączenie go w zakres świadomości wzrokowej nastąpiło na określonym etapie historycznym, świadczy to, że dopiero wówczas zaistniały warunki społeczne umożliwiające włączenie go w zakres doświadczeń wzrokowych, uznanie go za rzeczywistą realność widzenia.

Rzecz jasna — poprzedni malarze również dostrzegali istnienie cienia. Lecz ten cień zacierał kontury przedmiotów, rozbił ich dokładnie wyrysowaną odrębność, uniemożliwiał ich wydzielenie z otoczenia. Ten cień przeczył ówczesnie pojmowanej istocie realizmu — realizmu odrębnych, niczym ze sobą nie powiązanych jednostek przedmiotowych. Stosowanie cienia (z punktu widzenia



Tintoretto (1518–1594): Pietà

Przyjmując tezę materializmu dialektycznego o nieskończoności rozwoju — musimy zbadać każdy z historycznie ukształtowanych i historycznie przemijających typów realizmu, wyjaśnić jego rzeczywistość, realną bazę wzrokową, zbadać jakie składniki **rzeczywistego** widzenia weszły w jego skład — jaka jest historyczna, klasowa geneza każdego z tych typów widzenia przesadzająca o uwzględnieniu takich a nie innych zjawisk wzrokowych i o odrzuceniu innych dostrzeżeń również realnych, również wzrokowych, lecz nie objętych w danym historycznym typie realizmu.

Lecz ta metoda — badania każdego z historycznie ukształtowanych typów realizmu, metoda określenia ich bazy doznań wzrokowych i świadomości wzrokowej — wymagałaby badań ścisłych i dokładnego naukowego określenia każdego poszczególnego składnika świadomości wzrokowej wchodzącego w skład **widzenia** danej epoki.

Należałoby operować konkretnymi, dającymi się sprawdzić, należałoby **umieć widzieć**, umieć operować bogatym i różnorodnym materiałem doznań wzrokowych — a jednocześnie nie wiedzieć, jakie doznania wzrokowe realizuje się poprzez te, a nie inne środki wyrazu formalnego. Dopiero ten materiał empiryczny, ujęty w metodę materializmu historycznego — da nam historię rozwoju widzenia, jako wyniku przemian następujących po sobie i klasowo uzasadnionych — poszczególnych typów realizmu. Wyrażanie realnych warunków bytu odbywa się poprzez realne narastanie elementów wzrokowych, uwarunkowane przekształcaniem się stosunków produkcji.

tego realizmu odrealniało przedmioty, zacierało część ich granic i stapiając przedmiot (w cieniu) z tłem lub innym przedmiotem. W myśl realizmu XV-wiecznego realizmem prawdziwym było **widzenie nieprzekraczalnej odrębności i oddzielności przedmiotów**. Realizmem prawdziwym było odtwarzanie tych cech, jakie posiadał sam przedmiot — jego wymiarów, kształtu, kolorów. Cień, który zaciera i odrealnia kształty przedmiotów, był rzeczą przypadkową, nie był elementem, charakteryzującym obiektywną istotę przedmiotu. Cień mógł padać z tej lub innej strony, mógł ukrywać te lub inne części przedmiotów. Mogło też cienia nie być wcale. Wszystko to miało nie zmieniać istoty przedmiotu, jako samodzielnej, zewsząd ograniczonej, dotykanej i sprawdzalnej bryły. Dlatego w pojęciu realizmu XV-wiecznego nie mieścił się element cienia. Zjawisko cienia było zjawiskiem **odrealniającym**, sprzecznym z dążeniem do prawdziwego, obiektywnego ówczesnego realizmu.

I jeśli później zaszły zmiany w samym określeniu istoty realizmu, jeśli rozumiano, że rzeczywistość nie jest zbiorem istniejących obok siebie i wzajemnie niezależnych przedmiotów, lecz istnieją pomiędzy nimi stosunki i powiązania, że całość stanowi pewną **strukturę** materialno-przedmiotową — oznacza to, że w stosunkach produkcji zaszły zmiany, które znalazły swój odpowiednik w zmianach kryteriów realizmu. Widzenie rzeczywistości uległo zmianie, ponieważ sama rzeczywistość przeistoczyła się w tym czasie.

Rozkład gospodarki naturalnej, rozwój kapitalizmu handlowego na bazie produkcji w manufakturach, ukształtowanie się dużych



Leonardo da Vinci (1425–1519): Mona Lisa

państw narodowych, wzrost miast, przejście do gospodarki folwaczno — pańszczyźnianej, splatanie się wielkiego rolnictwa z kapitałem handlowo-lichwiarskim, powstanie kampani dla handlu zamorskiego — oto są zjawiska, jakie wpłynęły na przekształcenie kryteriów realizmu. Rozkład gospodarki naturalnej znalazł swój wyraz w rozkładzie dotychczasowej „naturalnej” jednoci i ograniczonoci przedmiotu, namalowanego na obrazie i rzecz charakterystyczna — malarstwo barokowe, malarstwo światłocienne rozwinęło się najsilniej tam, gdzie aktywność nowopowstającej młodej burżuazji była największa — w Wenecji (Tycjan, Tintoretto, Veronese), w Belgii (Rubens) i w Niderlandach (Rembrandt). Rozmach tworzącego się wczesnego kapitalizmu znalazł swój wyraz w bujności malarstwa barokowego.

To przejście od średniowiecznej zamkniętej, samowystarczającej gospodarki naturalnej — do form wczesnokapitalistycznych, od jednostkowego zamówienia dla konkretnego klienta — do produkcji towarowej, od warsztatu cechowego — do produkcji w manufakturach, od zapłaty wyliczonej z rąk do rąk — do księgowości dużych obrotów wekslowych, od lady i kupca wędrownego — do kampanii kupieckich dla handlu zamorskiego (z własną flotą i własnym wojskiem) — te wszystkie przejścia utworzyły zmianę stosunków produkcji i umożliwiły dostrzeganie takich zjawisk wzrokowych, jakie w poprzednich stosunkach społecznych nie miały pokrycia w rzeczywistości otaczającej.

Tak, jak rozkładowi uległy poprzednie jednostki zamkniętej średniowiecznej gospodarki naturalnej — tak samo uległa rozkładowi sama koncepcja zamkniętych w sobie i odgraniczonych jednostek przedmiotowych. Widzenie rzeczywistości uwarunkowane nową, zmienioną strukturą stosunków klasowych — wyzwoliło realność nowych składników wzrokowych. Zginęła materia malarska dawnych czasów, składająca się z odosobnionych, oddzielnych przedmiotów. Nastąpił nowy etap widzenia materii: jako struktury materialno — przedmiotowej, utworzonej przez stosunki i zależności — widzenie materii nowych czasów.

Lecz i jedno i drugie widzenie było realizmem. Realizmem klasowo uwarunkowanym i nastawionym na widzenie swojej odrębnej i niepowtarzalnej epoki historycznej. Każdy z tych realizmów ukształtowany w wyniku procesu historii, stanowi część żywego, współcześnie istniejącego organizmu społecznego i nie może być mechanicznie sprzęgnięty w dowolnych kombinacjach gdzieś wówczas, zamiast wyrażać swoją rzeczywistość — da fałszowany obraz innej rzeczywistości. Realizm, należy do zrozumienia — jest nie absolutem, lecz narzędziem poznania.

(c. d. n.)



Rembrandt (1606–1669): Kapiąca się kobieta

Jan Baculewski

O KIERUNEK WYCHOWANIA

(Uwagi do dyskusji)

Kiedy chcemy określić zasady ideologiczne pracy naukowo - wychowawczej, musimy w pierwszym rzędzie wziąć pod uwagę **nowy etap** rozwojowy Polski Ludowej, która wchodzi na drogę budownictwa socjalistycznego. Ten moment wymaga, aby na wstępie stwierdzić, iż budownictwo socjalistyczne potrzebuje świadomości socjalistycznej i ustalenia na wszelkich drogach działania i wychowania zasad ideologicznych.

Wyliczmy najpierw te, które muszą być na tym etapie bezwzględnie już odrzucone. W pierwszym rzędzie musimy zerwać z tradycjonalizmem pedagogicznym.

1) Nie uznajemy **personalizmu**, który się **niewiary w masę i postęp społeczny**, wysuwając kult **osobowości**, rozumiany jako **negacja zbiorowości**. Nie cenimy cnót, które hodować każe ta pedagogika, traktując je jako wielkie przymioty jednostek wyodrębniających się od mas i przez to izolujących się od społeczeństwa. **Personalizm** jest nam obcy jako koncepcja burżuazyjna i kapitalistyczna.

2) Nie wiążemy się z żadnymi teoriami **biologicznymi i eksperymentalnymi**, chociaż stoją za nimi takie autorytety pedagogiczne jak E. Claparede i M. Montessori. Wychowanie bowiem nasze nie może się ograniczać wyłącznie do opieki biologicznej i **szacunku dla niezależnego rozwoju** organicznego dziecka, **przeczy to bowiem istnieniu celowości wychowania**, a które odrzuca pedagogika eksperymentalna.

3) Wychowanie nasze nie jest również wyrazem **demoliberalnej pedagogiki** społecznej, z którą żyło się od końca w. XIX wielu pedagogów polskich. Albowiem w fundamentach tej pedagogiki spoczywają idee **solidaryzmu społecznego**, który fałszuje obraz rzeczywistych stosunków społecznych i paczy ideę walki klas.

4) Nie przyjmujemy również **teorii grup**, jako podstawowej formy wychowania zbiorowego, nawet gdy jest ona reprezentowana przez wybitnych naszych socjologów. Teoria ta bowiem głosi, iż społeczeństwa żyją na układach odosobnionych, że **grupa istnieje po to, by wydzielić się z reszty społeczeństwa**. Przeczy to prawom **integracji społecznej** i niezgodne jest z socjologią marksistowską, która odrzuca teorię grup, ukazując **wielkie ruchy masowe**, obejmujące całe klasy społeczne, a poprzez więź i solidarność proletariatu światowego — **całą ludzkość**. My uznajemy wychowanie klasowe i poddajemy się rygorom pedagogiki socjalistycznej. Założenia jej tkwią w ogólnej teorii naukowego socjalizmu. Jest ona zgodna z ideologią klasową i praktyką socjalistyczną. Jej dyrektywy przebiegają równoległe do linii rozwojowej Polski Ludowej. Wychowanie socjalistyczne jest dla nas teorią przekształceń ideologii ludowej na proletariacką świadomość rewolucyjną; jest teorią **zadań i przysposobień** do budownictwa socjalistycznego. Kształcić bojowników o nowy ustrój społeczny pedagogika socjalistyczna uczy **socjalistycznego myślenia** i wdraża do klasowych form życia.

Ogólne założenia teoretyczne określają wytyczne postępowania wychowującego i nauczającego. Pragniemy kształcić młode pokolenie jako świadome zbiorowych zadań, zdyscyplinowane, mężne i ofiarne. Ale cechy te rozumiemy jako wyraz postawy ideowej i sposób zachowania się w **określonych warunkach społecznych**, a nie ze spól cnót hodowanych jako dyspozycje intelektualne i psychiczne bez społecznego i funkcjonalnego ich zdeteminowania.

Określone warunki społeczne — to sytuacja po rewolucji, którą przeprowadziła klasa robotnicza w przymierzu ze wsią, spełniając jej stuletnie marzenia — oddała ziemię w ręce chłopów. — To sytuacja po rewolucji, kiedy masy drobnorołnego i średniego chłopstwa przekonały się (po 3-4 latach), że Reforma Rolna nie mogła zakończyć ich biedy i wyzysku. Odsłania się przed nimi masami wyzysk niższego i bliższego, miejscowego piętra — kapitalistów wiejskich i odsłania źródło biedy w podstawie systemu gospodarczego na wsi: w drobno-towarowej produkcji indywidualnej. Ta sytuacja, to nowy etap wiazania przez klasę robotniczą mas drobno- i średniorolnych wsi z rozwojem wielkiego przemysłu socjalistycznego, otwieranie dla nich nowych dróg do lepszego jutra i do wrastania w socjalizm.

Ta przebudowa postawi w zupełnie innej sytuacji społecznej młode pokolenie chłopskie, zamknięte dotychczas w roz-

drobnionych przez dziedziczenie gospodarstw rodzinnych lub sproletaryzowane przez brak ziemi. Stanie ono wobec zwiększenia produktywności rolnej i mechanizacji środków uprawy, będzie musiało podjąć się nowych zadań w zakresie przygotowania się do nowej organizacji społecznej wsi i nowej pracy. Wejście w przemysł rolny, w zawody agro- i zootechniczne, przygotowanie do funkcji techników, traktorzystów i agronomów społecznych — oto nowe funkcje i nowe zadania młodego pokolenia chłopskiego, które zostanie wyrwane z dotychczasowego zastoju wsi i pchnięte do twórczej roli przebudowy gospodarki rolnej.

Ale dlatego świadomość młodego pokolenia musi być zbudowana na naukowych

podstawach, które winny wdrażać do myślenia ujmowania wszelkiej obiektywnej rzeczywistości. Wychowanie, które dajemy, musi na poziomie szkolnym odpowiadać współczesnemu stanowi nauki i jednocześnie ukazywać i przygotowywać do społecznych konsekwencji rozwoju nauk, tj. do ich technicznych zastosowań. Wychowanie najcelowsze to wychowanie najbardziej poprawne naukowo i wartościowe teoretycznie a równocześnie jak najbardziej owocne społecznie.

Patrząc z tego stanowiska na działalność szkolną musimy ukazać tradycyjalistyczne elementy, tkwiące w średniej szkole ogólnokształcącej, która wykazuje **bierność społeczną, nieprzydatność techniczną dla masowych potrzeb gospo-**

darki i życia społecznego. Praktyka organizacyjna nowej wsi musi podać rewizji zarówno taki program jednostronnie ogólnokształcący, jak i metody wychowawcze. Błędem wychowawczym średniej szkoły był i jest niedostateczny nacisk na wychowanie przez organizację młodzieżową. Istniały one wprowadzić w szkołach, ale w technice wychowawczej nie odgrywały rewolucyjnej roli, jaka im przypada. Młodzieży nie możemy traktować jako tylko przedmiot zabiegów wychowawczych. Istnieje ona nie tylko w szkole. Kategorie socjologiczne wyznaczają jej konkretne miejsce w rozwoju społecznym, a praktyka socjalistyczna każe widzieć w niej olbrzymi zespół sił rewolucyjnych, spełniających określone zadania w przebudowie ustroju. Nową pedagogikę określa nowa technika wychowawcza, która nie istnieje bez podstawowej roli organizacji młodzieżowych w systemie wychowania.

Wprowadzając pojęcie nowej szkoły, musimy rozumieć ją zarówno przez nową technikę jak i specyficzną problematykę. Jednym z tych specyficznych problemów jest zagadnienie **pracy i politelnizacji** **wykształcenia**. Zagadnienia te w zastosowaniu do szkoły są trudne i nie znalazły dotychczas ostatecznego rozwiązania nawet w przebogatej teorii i praktyce pedagogiki radzieckiej. Nie mniej kilka spraw wydaje się całkowicie wyjaśnionych. Mianowicie:

Kształcenie polityczne można m. in. rozumić jako kształcenie zawodowe, ale w ten sposób, jak to zostało określone przez Karola Marksa w „Krytyce programu gotajskiego”, gdzie się je rozumie jako jeden z **najpotężniejszych środków przebudowy ustroju społecznego**. Pojęcie zawodu zbiega się tu ze znaczeniem **pracy jako źródła produktów i stosunków produkcyjnych**, określających etapy rozwoju gospodarczego. Nie idzie więc o kramikarstwo warsztatowe, ani mistrzowską obróbkę sztuki kamazniczej czy stolarskiej. Idzie o **wielkie procesy produkcyjno-ekonomiczne w miastach i na wsi**. Z nimi musi być **przed wszystkim związane szkolnictwo zawodowe**. Praktyka organizacyjna nowej wsi winna objąć swoim zasięgiem szkoły przemysłowe, szkoły zawodowe i rolnicze, kształcące fabryczny i wiejski aktyw: dynamiczną siłę w walce o realizację budownictwa socjalistycznego.

W wychowaniu trzeba precyzować rymy techniczne. Istnieje zasadnicza różnica między wychowaniem socjalistycznym a mieszczańskim. Trzeba należycie ustawić procesy wychowawcze, by młode pokolenie nie znalazło się na skrzyżowaniu różnych wpływów wychowawczych. Staje się to jednak konkretnym niebezpieczeństwem w tych środowiskach, gdzie niejednokrotnie postępową postawą polityczną rodziców nie idzie w parze z socjalistycznym wychowaniem.

Z tego konfliktu wyłania się trudne zagadnienie oddziaływania wychowawczego rodziny. W pełni doceniamy twórczą i niezastąpioną rolę rodziny w pierwszym okresie wychowania dziecka. Nie chcemy ingerować w ambicję i możliwości wychowawcze rodziców.

Jednakże zasady jednolitego oddziaływania wychowawczego na młodzież wymagają wywierania wpływu na praktykę wychowawczą rodziców. Tylko na tej drodze uchronimy dziecko od kłóży, jaka istnieje między wpływem rodziny i instytucją wychowawczą. Jednym z koniecznych zadań musi być **podjęcie współpracy między domem a szkołą** celem zapewnienia wpływu na praktykę wychowawczą rodziny.

Pomoże nam w tym dojrzała sytuacja historyczna klasy robotniczej inteligentnej i chłopskiej. Na terenie wsi wraz z rozwojem kapitalizmu rozwijał się nieubłagany konflikt między rodziną **chłopską a parcelą**. (patrz J. A. Króla: „Przyszłość rodziny chłopskiej” Wiedź—40-41). Dla wielu członków rodziny parcela już nie wystarcza, nie wystarcza taka gospodarka parcelowa. Jak i z czego mają żyć i wykarmić dzieci? Nikt inny bardziej niż rodzina chłopska nie jest w tym zainteresowany. Ciężar odpowiedzialności, jaki ją przyniata, przybliża ją coraz bardziej, po sprawdzeniach i przemyśleniach wielu środków i dróg do nas — pedagogów nowej, Ludowej Polski. Ukazujemy przyszłość dla mas młodzieży chłopskiej Szkołom do opanowania przez nią tej przyszłości.

Andrzej Braun

WYSPA WOŁYŃ

Wieczór tkwił zaplątany w gotyckich kościołach
ażurowe wieżyczki. Wzywano do stołu.

Po arkadach hotelu zaplakały gongi
wzdychając tylko świerki tkwiły jak posągi
tam nad brzegiem, gdzie chłopki chichotały bosa
gdzie prom przewoził wozy i kmieć ostrzył kosę.

Komary srebrną rzeszą nuciły nieszpory —
Słońce jak pawie pióra gubiło kolory
na plaży. Tam zatoka. Żagle z cynamonu
rumienią się ostatnim żarem nieboskłonu.

Jak we śnie na wołyńskich łąkach pachnie siano,
które uschnąć nie może, zalewane pianą.

Milicjant uroczysty opiera o rower
pierz z odznaką pioniera. Morze łśni perłowe.

Parowiec ze Szczecina, zrosnięty na wodzie
z odwróconym odbiciem powraca jak codzień
dźwigając warkocz dymu, czarny warkocz ruski.
Już orkiestra na moło gra, migoczą chustki.

Marynarze na wiat strzelają wśród sosen
ukraińskie piosenki nuciąc śpiewnym głosem.

Wyspa jak odwrócona twarz dziewczyny w studni
wstydzi się swego piękna na lustrze zatoki.

Wołyń — szepcze lafarnia — zapomnieć najtrudniej,
gdy wędrują z wspomnieniem ze wschodu obłoki.

DZIEWCZYNA

Nie zwracała uwagi, biegnąc pod kasztany
choć byłem i bogatym i dobrze ubranym —
śmiała się patrząc w kwiaty wzrokiem lunatyka
a słońce na jej rzesach błyszczało jak mika.
Mówiłem piękne słowa drząc, że wnet ją spłoszę
tę dziewczynę z stołówek, co zarabiała grosze
(chyba, że kradła jak inne, w co jednak ja nie wierzę).
Mogłem ją zabrać w różne piękne miejsca,
kupować rzeczy kosztowne, jak w filmie
(poza to jest przyjemnie mieć chłopca z lepszej sfery)
szczupłe biodra wyśnionej czekają kariery.
Gdy sprzątnęła talerze, pod fabrykę „Profit”
biegła, a chłodna дума ostrzyła jej profil
mijając niecierpliwie, gdyś zastąpił drogę
tam witała farbiarza — i nikt nie mógł
jak szprychy migotały stopy u fałbany. —
Trzymając się za ręce, biegli pod kasztany.

MŁODOŚĆ

Stary fryzjer, Konstanty! Główni na wystawie.
Niemodne loki peruk oglądam ciekawie
jak w parku staroświecki z fin-de-siecle'u posąg,
dziwiąc się uczesaniu, jak on siwym włosom.
Czas mija jego zakład, zabiera klientów,
czas niby wiatr potracą mosiężne talerze...
Lustra z chłopięcą twarzą! ileż sentymentu
budzą stare fryzjernie i śmieszni balwierze.
Konstanty miał przyjaciół. Grywał z nimi w wista
gdy wchodziłem, powszechniak, czy gimnazjalista.
Każdy ma w swoim życiu takiego fryzjera
który strzyże na zero, po męsku, a teraz
podcina włosy dziecku i najtaniej bierze.
Bądźmy uczciwi. Ci młodzi są nieuprzejmi narazie,
doliczają za puder, ziewają z drewnianą twarzą —
wspominam kitel błękitny, rzemień i rurki na gazie,
szumi kolońska, oczom tryumfy się marzą —
Stary fryzjer czesał kiedyś wybitne osoby
Smosarską i inne gwiazdy (ma nawet fotografie
a na nich słowa uznania dla kunsztu młodego fryzjera),
czas powraca jak pamięć sprzed długiej choroby,
w minione piękno sztywne peruki ubiera.
Gdy mnie goli uważnie, wspomina panią Smosarską,
potem kłania się nisko wkładając mi palto
(zawsze się tego wstydzę). Wyciąga dłoń po napiwek —
ten mu pozostał odruch z najlepszych lat młodości.

Teodor Goździkiewicz

Ilustr. Karol Baraniecki

CZTERY DNI MATEUSZA^{*)}

W cieniu kilku sliw rosnących przy płocie, oddzielającym sadek od podwórka u Gajków, leżały okrągłaki świerkowe. Były to bale zmagazynowane przy różnych okazjach, ale bez ścisłego przeznaczenia. Przy ich przypadkowej zwórze, kierowano się gospodarską zasadą wszelkiego przypadku określoną słowami „przysła się”. Ale przechodziły miesiące i lata, a bale leżały z kory, pod którą korniki potoczyły swoje korytarze w kształcie grzebieni, szerniały na deszczach i czekały jakiegoś skutku.

Najczęściej służyły za miejsce siedzenia podczas krótkich chwil poobiedniego wypoczynku, albo niedzielnego pilnowania obejścia. Siadało się wyżej lub niżej, ale obowiązkowo z łokciami na kolanach. Tak było nawygodniej.

Tu siedział stary Gajek ze Stasiem po obiedzie w południe i tu ich zastał Mateusz. Był nawskroś uroczyści. Ubranie jego co prawda nie odpowiadało wymogom całkowitej gali, jednak posiadało cząstkę elementów oficjalnych. Do swoich bowiem nieobesztych pasczków i białego kaszkietu z bączkiem włożył zwykłą, cągową marynarkę. Ponad wszystko jednak najbardziej wymowna była mina, z jaką siedział, rozmawiał z gospodarzami i częstował ich machorką. Od razu można było poznać posła, osobę godną, która na chłopskie podwórko może wejść tylko w roli specjalnego wysłannika, spełniającego misję wyższego rzędu. Co do tego nie mogło być wątpliwości, a już nie wolno było jej mieć gospodarzom.

Mateusz był uroczyści, powściągliwy, mówił mało i tylko na główny temat. Żadnych tam „co słycać u was?”, żadnych „co robicie?” czy „co zamierzacie robić?”. Byłoby to wyraźne obniżenie jego godności poselskiej, osoby z innego, wyższego świata. Cędził słowa, kiedy mówił:

— Dziedzic tu mnie do was przysłał, osłabił was Stasiu, żebyś tam do niego poszedł...

Był tak nadziany powagą, że zupełnie nie zareagował na słowny wybrzyk Stasia:

— Ja, do niego? Do dziedzica?

Mateusz palił papierosa w milczeniu i chciał dać do poznania, że mimo, iż jest foszpanem w Lipnicy u samego dziedzica Obrzyńskiego, pozwolił sobie, wobec nich na dwa stopnie karygodnego obniżenia powagi swojej funkcji: pierwszy — usiadł na balach, drugie — zapalił z nimi papierosa. Słowa zaś Gajka, noszące wszystkie cechy porównawczości, skłoniły go do zakwalifikowania jako trzeciego — na jego osobę. O ile tamte mogły jakoś strawić, jako pochodzące od niego (sam się skazał na to), o tyle sposób wystąpienia Stasia uważał wprost za obraźliwy. Zmarszczył twarz, zwrócił szpary oczne i w takim upowinowaniu cech zewnętrznych cędził:

— Nie wiem... Coś ta pewnie do was ma...

Ich zainteresowanie połączone z zakłopotaniem przyjął z zamaskowaną radością. Był to niechybny znak, że taktyka jego została dobrane właściwie i wszystko jest na dobrej drodze. Cóż się ma po z nimi ceregielować? Cóż taki Gajek — dokupujący kartofli na przednówku we dworze — jest? Ludzie na wsi są gorsi i lepsi, jak plewy i ziarno — dmuchiesz: plewy wyfruną, a ziarno zostanie. Gajek bez wątpienia nie należy do ziaren, Mateusz dobrze o tym wie. Okolicę zna jak nikt...

Stasiek był całkowicie tym zaproszeniem zaskoczony i nie domyślał się zupełnie, co by ono mogło znaczyć. Stary Gajek zaś, który przez sprawki syna miał niejedną przykrość i strać, wietrzył w tym raczej coś niemiłego. Już tam jego synalek pewno coś zmagistrował: myślał z niepokojem. Ale skądinąd narzucało się myśli, że wobec jakiegoś przestępstwa dziedzic by go do siebie nie wołał: coż tedy mogłoby to być? Obaj pełni rozterki zaczęli molestować rzedkiego wysłannika, co by to wszystko mogło oznaczać.



Mateusz widząc ich niepokój, a chcąc go jeszcze więcej spotęgować odpowiedział:

— Nie wiem...

Słowa jego miały jednak tę charakterystyczną barwę, którą mówiła, że pod pozorem niewiedzy foszpan doskonale jest o wszystkim poinformowany, tylko jego godność i brak specjalnego upoważnienia od mocodawcy nakazuje mu trzymać język za zębami. — że wypowiedzieć swoje przypuszczenia czy ujawnić cel postawienia, wskazany jasno, może na pewnych warunkach tylko — jako wielki fawor z dziedziny ich dalekiego współzycia.

^{*)} Z powieści pt. „Lipnicki świat”, która ukaże się w druku nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza”, w Warszawie.

Spojrzał przelotnie po swoich rozmówcach. Młody miał twarz zagadkową, stary coś takiego w spuszczonej wargach i minie zatroskanej twarzy, że Mateusz się uśmiechnął. Uznał, że dobrze jest, bo przecież chował dla nich nowinę dobrą, więc niech się tam cokolwiek potrapia. Tym bardziej później się ucieszył, im bardziej teraz napędził im stracha. Więc na ich nalegania odpowiadał:

— Jak to dziedzic... Zawsze do chłopów coś ma...

I znowu po tych słowach nałożył maskę tajemniczości, trzymając ich w napięciu.

Wreszcie gospodarze uznali, że w tym okresie walki należy im również przejść do systemu gry, w której trzeba i z ich strony coś postawić. Na początek więc postawili pochwleństwo.

— Jak to może być — zaczął z nagłą natarcia stary Gajek, — że wy Mateuszu, co razem z dziedzicem jeździcie, gadacie z nim i wiadomo, że blisko z nim życie — żebyście nie wiedzieli, co od nas chce? To niepodobne do wiary! Przecież wy wiecie wszystko, co się dzieje we dworze... A takiego głupstwa byście nie wiedzieli?

— Nie... Nie wiem. Dziedzic mi nie mówił. Dopiero teraz zauważyli ścisłość jego wyrażenia: „dziedzic mi nie mówił”. Nie omieszkał tego wykorzystać od ręki.

Mówi Stasiu.

— Tak, to prawda, to możliwe, że wam dziedzic nie mówił, ale przecież można wiedzieć, o co chodzi, bo można się domyśleć... Nie domyślacie się, o co idzie? Dla takiego biegłego człowieka, jak wy, to co to znaczy!... — przypochlebnie dokończył Stasiek.

Teraz dopiero Mateusz uznał za stosowne zejść z piedestału dworskiej oficjalności. Wymaganiem jego stało się zadość, więc można tym chłopom „uchylić rąbką tajemnicy” i coś nie coś powiedzieć. Wypluł koniuszek papierosa przed siebie, przydepnął go wyciągniętą nogą, dostawił ją znowu dla symetrii z drugą i zaczął powoli mówić. Wahał się, zastrzegał, domyślał tylko i cofał, ale mówił przecie wyraźne rzeczy i Gajkowie wdziedzi mu byli i za to.

— Wiedzicie, nie wiem na pewno, ale tak się tylko domyślałem... To mówię z góry, chcecie — wierzyć, chcecie — nie wierzyć. Ale tak jest. U nas, we dworze, jak wiecie, jest nad wszystkim dziedzic, bo to jego, ale ma jeszcze rządzącego od pola i pisarza od podwórza. Oto widzicie, tak jest, że pisarz dobry człowiek, ale już stary, a tu w podwórzu trza chodzić: do spichrza do stajni, od stajni do stodoły, od stodoły do ogrodnika. I tak cały dzień w kółko. Nogi trzeba mieć dobre. A pisarz stary, już nie może nadażyć, astmę ma, zasapie się, zaślini, aż i nierzad dziedzic złości.

Przerwał na chwilę, ale już po tych słowach gospodarzom zaczęło świtać w głowie.

— Więc nie wiem na pewno, ale się domyślam, że dziedzic potrzebuje pomocnika dla starego. Tu by go trzeba wyręczyć, tu pomóc, tu pojechać, tu zarządzić... o, to — rozumiecie... Pensa byłaby jaka taka, ordynaria tak samo, a jakby się taki pomocnik wprawił w pisanie, w zarządzanie, to potem mógłby i pisarzem zostać... To się rozumie. Stary już słaby, niedługo pochodzi i albo umrze albo go zwolnią. Nie wiadomo jak długo pociągnie... Robota jest ciężka i trzeba do niej dobrego zdrowia. A Stasiek chodzić może — dodał z uznaniem.

Mateusz pożył się tajemnicy i razem z nią sztywną, oficjalną miną.

— Tylko jakby co z tego było — rzekł dalej — to by trzeba się było starać, zabiegać, bo przecież, dworskie podwórko to nie chłopskie.

W słowach Mateusza brzmia surowość, jak przystało na człowieka, który posiadał zdolność relatywnego widzenia wartości tego świata — świata, który jest niedoskonały.

2.

Mateusz odwiedził dzisiaj pana na zebranie, wysadził przed spółdzielnią, a dowiedziawszy się, że ma na niego nie czekać, zawrócił brykę, przesiadł się na drugie. uroczyste siedzenie, zdjął ciężką, ceratową czapkę, otarł czoło i poczuł się swobodniejszy.

Puścił konie luzno, bo było gorąco. Lubił ten czas — takiego beztróskiego powrotu. Poczucie zupełnego braku kontroli upajało go nie na żarty. Rozwalił się na siedzeniu, ręce rozkrzyżował wzdłuż poręczy i czuł, że w taki upał jechać bryczką po drodze nie należy do rzeczy najgorszych.

Minał ostatnie domki Dorzecza, minął pola i znalazł się na grobelce, która między łakami prowadziła do mostu. Najchętniej by się wykapał, ale obawa pozostawienia koni z bryką na drodze bez dozoru okazała się silniejszą, niż chęć obmycia spoconego ciała wodą. Jeszcze gorzej by było, gdyby zjechał z drogi i konie zatrzymał w chłopskiej łące.

A więc nie z tego — nie zatrzyma się nigdzie — zatem mimo wszystko wróci i jeszcze musi napewno dzisiaj jechać na pole po koniczynie dla żrebacków. A tak się świetnie zapowiadało z tym wyjazdem! Pisarz to widział i najprawdopodobniej obarczyłby przywózką kogoś oderwanego od innej roboty.

Leniwie medytując o tych sprawach wjechał między kępy wiklin obrastających grobelkę, która prowadziła prosto na most. Więc przejeździe ten most — medytował — tamta grobelkę pastwiska, tamto pole, a potem już dworskie...

— Mateuszu! Mateuszu!

Spojrzał Mateusz wzdłuż rzeki w lewo: od zakrętu siedzi ku niemu Spychała. Mateusz nie lubił tego chłopca. Słaby na jedno oko, z szeroką blizną na policzku, był zawsze brudny, rzadko kiedy ogolony i zawsze obdarty. Wywierał na niego przykre wrażenie.

Miał mu coś odkryknąć i jechać dalej, ale porównawszy w myśli ten swój wczesny powrót i konieczne roboty w podwórzu z postaniem tu nad rzeką, choćby tylko ze Spychałą, wybrał to drugie. Niech będzie, co chce — woli już tego Spychała, niż dworskie podwórko. Tam jeszcze gorzej, a robić trzeba.

Wstrzymał konie, Spychała doszedł, przywitani się.

— Mateuszu — zaczął ślepy rybak — może rybke? co? Mam ładną rapę...

Mateusz wiedział, że tam żadnej rapy nie ma, najwyżej trochę bielicy, no, ale to byłoby za mało na powód do zatrzymania go. Wiedział, że za tym wszystkim chodzi o co innego, ale zapytał:

— Ile za tę rapę?

— Złotówkę... bardzo ładna naprawdę rapa — wyrzekł szybko Spychała.

— Ile? Złotówkę? Jak ja groszem nie śmierdzę? Coś się drożycie?

Spychała powtórzył swoje:

— Bardzo ładna rapa... bardzo ładna... Pokazać?



Coś ten Spychała nadto przyciska go do ściany. A może naprawdę co ma? Mateusz zwątpił w prawdziwość swoich przewidywań. Przecież nie kupi — dopuści do pokazania i co z tego? Bądź co bądź, chociaż ma i w takim wypadku wiele dróg odwrotu, będzie cokolwiek skompromitowany. Patrzy w jedno oko rybaka, w bliźnię ścigającą jego, policzek i powoli, medytując, czy za tym wszystkim jest jeszcze co innego, czy nie jest?

— Nie... nie. Nję mam pieniędzy! — broni się już serio.

Więc Spychała wyraża żal z tego powodu, że on, Mateusz, nie chce kupić takiej ładnej rapy i milknie na chwilę, jakby zbierał myśl po tej niefortunnej propozycji, a Mateusz patrzy po nim. Rybak ma tę samą lnianą koszulę popstrzoną przez muchy i pchły, na niej podartą kamizelkę, a na nogach spodnie zwinięte w pół kolan. Stopy wiecznie ubrudzone w mule rzeczonym zachowały wilgotność nabytą w przybrzeżnym zielsku. Stara, wysłużona cyklistówka przewieszona mu się na jedno ucho na znak zupełnego bezkrólewnia w stanie jego garderoby.

— Machorkę macie?

Spychała zapytał o to dość niespodzianie, ale i tak Mateusz przecie wiedział, że w tym wszystkim o nią chodziło — cała gra była po to tylko. — Więc docenia swoją rolę obdziałacza, wolno, bez pośpiechu mówi, jakby celowo tamtego skazując na mękę niepewności:

— Machorkę, mówicie? — robi długą pauzę — mam... — kończy nareszcie.

— Dajcie zapalić! — słycał już gorączkę narkomana w głosie Spychała.

Ale Mateuszowi to za mało. Co to znaczy tak łapu-capu? Rybak musi mu zapłacić. Ale czym? Co on ma do zapłaty? W stosunku do niego, pańskiego foszpana, Spychała jest niczym. Więc niech mu przynajmniej zapłaci niecierpliwością. Drażni zatem tamtego swoim spokojem, swoim odwiekaniem:

— Eee, sam mam mało. Może na jednego papierosa...

— Dajcie, dajcie!

Mateusz widzi, że blade wargi Spychała latają, jakimś złośnym skurczem, jak u dziecka, któremu się na płacz zbiera — dalej już nie bawi się. Zdejmując ręce z oparcia, wyciąga z lewej kieszeni pudełko po pacie „Dobrolin” razem z książeczką bibułki, odsupłuje okładkę, dmucha w całość, oddziela jeden zwitek i wyrzyna go palcami. Potem te same ceregiele stroi z pudełkiem od machorki. Każdy ruch przy otwieraniu, samo nabranie szczypty tytoniu, ulokowanie go w złożku ze zgietej bibułki i skrócenie w wałek łącznie z poślinieniem — są to ruchy wystudiowane do najdrobniejszego szczegółu dzięki powtarzaniu ich niezliczoną ilość razy od wczesnej, chłopięcej młodości.

Potem to samo robią drżące ręce Spychała — Bibułki nie „Spotem”? — pyta rybak.

— Nie, „Solali” — wyjaśnia Mateusz — „Spotem” za rzadka.

— Jaka? — nie dowierza sobie Spychała.

— Za rzadka — powtarza wyrozumiale Mateusz — ciągniesz, ciągniesz i nic z tego. Wszystkie ucieka kokiem. Ja wiem, na pewno.

— A może — zachwiał się we własnych przekonaniach Spychała, nie wypadało mu bowiem znowu tak twardo przy swoim obstawać: jeśli korzystasz z kogoś, to musisz schować własne trzy grosze.

— Gdzie kupujecie? — zagadał.

— W Trawniczkach. Tam w sklepie wszyscy od nas kupują, bo tam bliżej. W niedzielę się co prawda chodzi do kościoła do was, ale spółdzielnia wtedy zamknięta. Też trzeba iść do prywatnego, — tłumaczył Mateusz — i co za różnica? Zresztą wy na dworaków patrzyliście krzywo u siebie... Ile kosztuje u was książeczka bibułki?

— Pięć groszy — objaśnił Spychała.

— O, a u nas sześć...

Mateusz się lekko zastanowił. Co on, ten rybak, mówił? Jeżeli prawdę powiedział, to każde pięć książeczek dają jedną darmo? Niemożliwe!

— Ile kartek? — zapytał, aby cokolwiek osłabić pozycję przeciwnika.

— Dwadzieścia pięć... — zapewnił go uroczyście rybak.

— I u nas dwadzieścia pięć — a po chwili korzystając z okazji postawił na swoim — tylko, że wasza rzadka... O, to jest, widzicie, ważne!

Konie tupią kopytami, szastają ogonami na boki i między nogi, podrzucają łbami: gonią czerwcowe, namolne baki. Szare, zwinnе owady atakują wszędzie: grzbiet, brzuch, szyję koni, które się niecierpliwą. Mateusz uznaje, że trzeba jednak jechać. Koniec końcem stracił jednego papierosa. Więc potrząsa lejcam i rusza powoli zostawiając nad rzeką samego Spychała.

Ten poczekaj zmróku. Obejrzy jeszcze wędki, o tej porze bierze szczupak na żywcę, a potem w ciemności ruszy. Widział gdzieś taką ładną wykę przy łące...

Mateusz waleśający się po podwórzu bez wyraźnej roboty natknął się na administratora. Dworska wielkość — po odważeniu dwu metrów ziemniaków Cieślakowi — sprawdza podwórko i nie omieszkała zaczepić marnującą się siłę roboczą Lipnicy:

— Mateusz by mógł zaprząć eugowe i zwozić w małych drabinkach tę białą koniczyne spod chłopskich działów... Nie czekać na fornali...

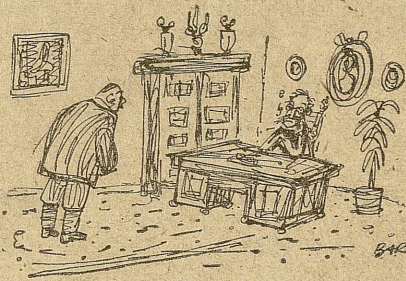
— Jakże ja pojedę, panie rzadco, po koniczyne — broni się Mateusz — jak muszę wysmarować na jutro szory i brykę, bo mamy jechać z panem dziedzicem do miasta na stację od samego rana... Muszę jedną robotę wpiąć skończyć!

Żadnego polecenia i żadnego wyjazdu nie było, ale Mateusz otrzymał jakiegokolwiek rozkazu niżej dziedzica poczytywał sobie za najwyższą obelgę. Uznawał jedynie pośrednictwo tych ludzi. Za każdy raz musieli się powoływać na samego Obrzyńskiego. Mówił taki na przykład pisarz:

— Mateuszu, pan dziedzic polecił, żebyście... — i tak dalej.

O, to było dopuszczalne i jeszcze strawne. Inne rzeczy — stanowczo nie. Sprzeciwiały się jego pojęciom „mocnego siodła” w lipnickim dworze, jakim się cieszył. Zarówno samo zjawisko jak i jego określenie zostały Mateuszowi z tych czasów, kiedy był na Lipnicę — majątek delegatem z powiatowego związku zawodowego robotników rolnych. Po powrocie z więzienia wziął go wtedy stary pan Obrzyński do siebie do gabinetu i po ojcowsku zagadał:

— Słuchaj, Mateuszu: znam ciebie od dziecka, znam twojego ojca jeszcze. Całe życie u mnie przeszedł i marnego słowa sobie nie powiedzieliśmy. Ciebie pamiętam od tyłgo... o!



Tu stary pan Obrzyński pokazał nad posadzką rozczapierzoną dłońą pewną wysokość, która miała obrazować niski wzrost ówczesnego Mateusza. Było to bardzo wzruszające. I Mateusz czuł się poruszony. Nie umiał płakać, bo już dawno nie płakał, ale chyba miał łzy w oczach. Odgadywał swój stan uczuć chrząknął znacząco i zapobiegawczo.

— Więc ci się pytam — ciągnął starszy siwy pan — coś na tym zarobił, żeś odmawiał chłopów od roboty z zegarkiem w ręku? Co? Powiem ci szczerze: bati. I co jeszcze? Powiem ci dalej: więzienie. Ty zarobiłeś, żeś ich wtedy namawiał do strajku. I kogo? kogo? Takich ludzi: oni poszli do roboty, a ty do kozy... O, tyle zarobiłeś. Pies z kulawą nogą się nie upominał za tobą. A ty?

Wspomina te czasy Mateusz i przeżywa gorycz: wstyd, zawodu, bólu. Był wtedy na wielkiej pochyłości, marzył o samobójstwie, ale stary Obrzyński okazał się prawdziwym ojcem i opiekunem.

— Wiedzisz, poznaj mnie. Tyś mi podma- wiał fornali, podlegałeś ich do strajków, kazałeś im robić według zegarka, chodziliś na skargę do powiatu, siedziałeś w więzieniu — powinienem cię za to wszystko wyrzucić. Ale ja tego nie zrobię. Ja cię przyjmuję. będziesz u mnie pracował, będziesz miał u mnie „mocne siodło”, ale już nigdy... nigdy więcej... rozumiesz?

Zrozumiał. Był pojętny. Zresztą to jedno doświadczenie było dla niego pouczające nad wszelki wyraz. Z kieszeni wyjął wtedy zegarek i zapowiedział w podwórzu fernalom: — Jutro cały dzień świętujemy. Jutro jest święto robotników! Kto się jutro od tego uchyli, ten będzie wyrzucony ze związku.

A pisarz od kuchni znowu zapowiedział rebiacie:

— Jutro każdy przychodzi do roboty, jakby nigdy nic. Jutro jest dzień robotny. Kto nie przyjdzie, ten z ręką dostanie terminatkę... Powiedzieć to wszystko w koszarach!

I w rezultacie co? Ludzie poszli do roboty, a on do więzienia. Ci lipnicy chłopci mają rację, że się od „dworów” odzgniają. Jak z takimi ludźmi żyć? Jak uważać ich za kolegów? Mateusz ich nie lubi. Awansując na fozspana otrzymał inne, oddzielne mieszkanie. Te dwie rzeczy: funkcja i miejsce pobytu wyniosły go poza dworską społeczność fernali i odrzodziły nareszcie od ludzi, którzy nie umieli, czy nie chcieli, walczyć o swój własny interes, o swoje własne życie.

Dobrze mu być takim, jakim jest. To, że został fozspanem, nie tylko go wyniosło spo-

śród fernali, to go jeszcze wydzieliło z okręgu dworu aż do wsi, do Lipnicy. Mało to się z panem tam najeżdżał? Jeszcze teraz, kiedy dziedzic Obrzyński został tam prezesem? Chłopi tam co prawda od czasu do czasu jakąś rzecz zamachują, a to przedtem koło młodzieży, a to teraz znowu spółdzielnię, zawsze chcą czegoś nowego. Ale pewnie i spółdzielni im nie długo starczy, jak i tego koła... Chociaż — zamyśla się Mateusz — teraz jest przecież i ksiądz i dziedzic...

Zapyta się pana Obrzyńskiego, ale chyba mu pozwolił zapisać się na członka razem z nim? To byłoby jedyne, większe jeszcze od zamieszkania oddzielnego...

Mateusz kręci się między wozownią a cugową stajnią, chce na wszelki wypadek robić złudzenie bardzo zajętego. Wyprowadził bryczkę przed drzwi, pociągnął ją sam ku studni, nabrał wiadro wody, wziął smatę i zaczął ją trzeć sprychny, stopnie, błotniki i spód. Robić — cokolwiek, byle nie do siana...

Jednocześnie myśli. Tamte czasy — tamtego siebie zestawia z tym sobą w dniu dzisiejszym. Jakaż różnica! Tylko go tam jedyne w powiecie bujali: wy jesteście takim!

wy to i to możecie! Wam się to i to należy! W rezultacie nie mógł nic, bo we dworze nie pozwolił rządcą, nie pozwolił pisarz, nie pozwolił dziedzic. Stary Obrzyński miał nosa, on wiedział, co mówił. Dziś z tego wszystkiego — ze wszystkich związków zawodowych nie został nawet kurz, tylko u niego w gminie przy jego nazwisku zapisano: „karanym więzieniem na podstawie par. NN. K. K.” I jak świetnie ten stary wtedy zrobił, że go przyjął, że mu wszystko przekreślił, bo gdzie by on zaś z taką terminatką jakiegoś zajęcia znalazł? Już z tych, którzy cokolwiek z nim stali, nie ma ani jednego w Lipnicy. Wytręśli się dziwnie z tych stron — musieli się wyrząść. Trudno ich nawet szukać w szerokiej okolicy. Zapomnieli nie tylko pola, na którym tyle lat pracowali, ale nawet zapomnieli i jego. Pocięsa się, że tak — że nie może być inaczej.

Do dziś na pewno — ile to już przecież upłynęło lat. Czas zapadł za tym jak wieko kuferka, w którym schowało się różne pamiętki młodości. A swoją drogą słowa tego ostatniego jakżeż go pieką, kiedy o nich myśli. Zresztą najlepiej o nich nie myśleć. Przyszedł wtedy wieczorem do niego z niebieską

terminatką, przyszedł, a już miał na wozie głównejsze graty spakowane — i mówi:

— Słuchaj, Mateusz: gadałeś nam różne rzeczy, obiecywałeś nie wiem co, nieraz złote góry... I co z tego? Powiedz mi, co z tego wyszło? Patrz: tyś został, a mnie wyrzucali... Jak to może być? Jak? Powiedz, Mateusz: tyś to umyślnie zrobił, żeby nas potem mogli wyrzucić! Po to!... Żebyś!

Mroczy mu się to w pamięci nienawistnym spojrzeniem przeszłości, którą już przecież skazał na śmierć po tylkokrotnie od niewiadomo kiedy... Po co to wspominać? Najważniejsze, że wyniósł kości całe z tego wszystkiego i jakoś żyje...

Dłatego wieść, która mu przynosi pokój, jest dla niego miła niby radosne objawienie:

— Mateuszu, pan dziedzic mówi, żebyście zwozili siano w cugowe konie... Tym małym wozikiem jakąś konicynę białą, Wiecie?

Ucieszył się. Bezpośrednio zadania wytracił go ze wspomnień. Za dużo tego dębiana. Ale potem ubodła go jakaś refleksja, kiedy mruknął:

— Aha, musiał ten byk coś tam nagać!...
Teodor Goździkiewicz

Wacław Rybus

„MŁODY DZIAŁACZ“ *)

(W odpowiedzi na artykuł „Przedsiębiorcy — działacze wsi“)

W gazecie „Wieś“ z dnia 17.IX natknąłem się na wyżej wymieniony artykuł Dyzmy Gałaja. Z zaciekawieniem przeczytałem go, a ponieważ użyte w artykule nazwiska są z mej wioski i treść jego jest bardzo zbliżona do poczyniań Bochenia, więc to mnie skłoniło do skrócenia kilku słów. Stosunek Gałaja do tych ludzi powiem, że jest wrogi, a jeśli by powiedział po literacku, to nieszczerzy i mylny. To drugie bywa wtedy, gdy się do rzeczy nie podchodzi z rozsądkiem i sercem, a tylko dla własnego „widzimisie”, albo dla tzw. „filozofii literackiej”. Na początku artykułu omawiana jest świetność Godzianowa, a potem historia jego przemian. Pierwsza gwiazda Godzianowa to organista i przez niego zorganizowany chór kościelny. Dajecie mu rolę silnika spaliny, którego, aby pracował, trzeba rozruszać ludzką siłą. Nie jestem socjologiem, ale tak zbawienną rolę nie obarczyłbym tego organisty. Po pierwsze, aby zorganizować chór trzeba ludzi chętnych i niezahukanych (wiem to z własnego doświadczenia). Po drugie, poddaje w wątpliwość czy inicjatywa założenia chóru nie wypłynęła właśnie od owych chórzystów. Fakt faktem, że pierwszą komórką życia społecznego działającego na szerszą skalę w Godzianowie był ten chór. Komórka ta rozrastała się, to znak, że ludziom tym czegoś było potrzeba. Widzieli w tym coś, co by szańczę codziennego życia ich odmieniło na nowe, lepsze. Dalsza praca, przynajmniej Kolego, że to już nie jest organista. Silnik pracuje. Dalsza praca to sama gromada, która zaczyna mozolnie krok za krokiem iść hen gdzieś do daleka zawieszanej latarni lepszego życia. Wejrzymy w historię i dopatrzmy się w niej prawa natury w ustroju rodowym. Nic też chyba dziwnego, że w Godzianowie znalazł się Rybus, Burzyński, Sołtyśzewski. Jeszcze raz sięgnijmy w stare karty historii. Kiedy nasza Polska była w pełni rozkwitu? Wtedy, kiedy na jej czele stał władca mądry i pracowity — będzie brzmiała odpowiedź. Nie komu innemu zawdzięcza Godzianów swoje dzisiejsze jestestwo jak tylko samemu sobie, chęci do pracy, a w pierwszym rzędzie zdolnym działaczom chłopom jak Rybusowi, Burzyńskiemu, czy Sołtyśzewskiemu. Tu leży sedno Godzianowa. To właśnie dzięki energii tej trójki, ich przedsiębiorczości, dzięki wreszcie ich staraniu i opiece nad dobrem sprawy, zawdzięcza Godzianów swą dzisiejszą świetność. Dalej — posadza się te trójki o kulać i z bogactwem się. Czy tak? Ja święcie jestem przekonany (z obserwacji Bochenia), iż właśnie mało że nie korzystali, ale w setnych wypadkach dokładali do tego interesu. Na marginesie przytoczę, iż spółdzielnia spożywców w Bocheniu trzy razy od 1936—1945 była przez katalizm wojny redukowana do zera i trzy razy właśnie nie przez innych, a przez Rybusów, Burzyńskich i Sołtyśzewskich była stawiana na nogi właśnie z ich funduszy. A przecież mogli to rzucić i nie prowadzić dalej. Mieli, według Dyzmy Gałaja, całkowicie interes — spółdzielnię we własnym reku, trzymali ludzi w chrześcijańskiej bojaźni i ciemności chłopskiej, dlatego więc jej systematycznie nie okradali, a wręcz odwrotnie — spółdzielnia rodziła spółdzielnię. Bo w ludziach tych był i jest, śmiem twierdzić, ideał spółdzielczości. Zarzuca się tej trójce w artykule, że się wybiłali i kumali z endecją. Zgoda! Ale należy postawić sobie pytanie, czy wtedy był rząd? Przez kogo były obsadzone najmniejsze komórki hierarchii społecznej? O jakich ludzi opierały się starania tej trójki? Czy miniona konieczność nie wymagała kumania się z tamtą sferą? A zresztą, pisząc o tym kumanie się trójki z endecją, wyraża nie podanie, że jeden był w OZN, drugi Wicarz-ludowiec. Czy to nie mówi? Czy wy nie dopatrujecie się w swoich ocenach polityki tej trójki? Trzeba było wszędzie pasować. Tego wymagała przeszłość. Godzianów dlatego wypłynął, że potrafił przez macki swego organizmu wszędzie wnikać. Potrafił dla siebie zewsząd wyciągać korzyści i zaskarbić je w swej gromadzie nie jako dobro prywatne, ale publiczne, społeczne.

*) Tytuł listu Rybusa pochodzi od redakcji.

czne. Aby jaskrawiej wysunąć mijanie się treści artykułu z rzeczywistością, należy posłużyć się przykładem. Znajdziemy go w rodzinnej wiosce Gałaja — Mysłkowicach. Dlaczego to właśnie Mysłkowice nie stanęły na takim poziomie jak Godzianów, mimo że posiadały i posiadają aż dwie tak znaczne jednostki w osobach Gałajów. I co ważniejsze — Mysłkowice miały bliżej organistę Chruslińskiego niż Bochen, a jednak nie był on dla nich gwiazdą dającą początek, a raczej poszedł do dalszego Bochenia, bo tam chcieli się uczyć. Inicjatywa leżała właśnie w tej trójce. Gdybyśmy się zapytali przeciętnego chłopca z Mysłkowic — dlaczego w Bocheniu robota społeczna idzie dużymi krokami i czyni postępy, a u nich wolno, albo wcale — odpowiedziałby tymi słowami: „Bo nam brakowało zawsze takiego Adama Rybusa, jak wy motta”. I tu leży sedno rzeczy, a nie w organistach. Nie u człowieka przychodniego, ale u stałego mieszkańca danego osiedla musi być inicjatywa. Tu się, według mnie, znajduje racja Godzianowa, a równie i naszego Bochenia. Bo która wieś miała zdolne jednostki, a te chciały pracować dla niej, to osiągnęła są na miarę Godzianowa. Nie jest sztuką według mnie kształcić się za ojcowe pieniądze, a później pójść gdzieś, osiąść wygodnie i dobrze zarabiać, a przy tym mówić i pisać o polepszeniu doli swej wsi i mieszkańców. Nie sztuka jest dla inteligenta podpatrzyć życie swej wioski i opisać ją w taki, czy inny sposób, ale sztuka jest być Adamkiem Rybusiem, który potrafił być wszystkim wszędzie. Sztuka jest zrobić 8 czy 10 ha. ziemi w zakresie własnych

sił, a potem w każdy wieczór wziąć trąbkę pod pachę i iść na próbę muzyki, teatru, czy śpiewu. Sztuka jest, nie mając zastępstwa w gospodarstwie, oderwać się od niego i jednak załatwić interes społeczny w mieście powiatowym czy dalej, bo inny, kto by mógł, nie chciał, albo nie umiałby tego zrobić. Sztuka jest przezwyciężyć samego siebie w momencie walki z trumą jaką ma każdy chłop „nie oblatany” przy wejściu do biura powiatowego, nie mówiąc już o starości.

Ja jestem młody. Przeżywałem dobre i złe momenty pracy społecznej, kształtuję swój światopogląd. Ja rozumiem pracę społeczną, rozumiem jej wzniosłość i dlatego pracuję, będę pracował i to dla swej wsi przede wszystkim, będę chciał z niej zrobić coś więcej niż Godzianów, ale gdyby mnie tak sądził jak Rybusa, Burzyńskiego, czy Sołtyśzewskiego, to bodaj dziś kończę swą karierę. Nie chcę robić po to, aby później na łamach pisma robił ktoś mnie czy innego jeszcze za życia „tradycyjną piramidą ruchu ludowego” i odrzucał na margines jako niepotrzebny człowiek.

A czy dzisiejsza rzeczywistość, to nie jest ta wczorajsza Polska, która dążyła do spółdzielczości, a dziś ją ma rozwiniętą w całej pełni, a tylko więcej rozwiniętą, niż wyobrażali ją sobie przed wojną Rybus, Burzyński, czy Sołtyśzewski? Niemniej i ten młody porucznik z Godzianowa musi zawdzięczać swoje gwiazdki takim i innym Rybusom, którzy przez swą nieugiętą pracę i długie starania doprowadzili do dzisiejszej rzeczywistości.

Wacław Rybus

Piotr Chmura

DO „MŁODEGO DZIAŁACZA“

Pod nieobecność kol. Gałaja, który jest na badaniach terenowych wsi, postanowiłem Wam odpowiedzieć niezwłocznie. Dlaczego? Zainteresował mnie Wasz światopogląd, który, jak piszecie, kształtujecie świadomie. Jesteście młodzi, garniecie się do pracy społecznej. A młodość i praca społeczna wymagają kształcenia w wiedzy i świadomości społecznej. Czy wiecie już dużo? Czy jesteście na drodze do dojrzałości klasowej, jakiej od działaczy biedniaków i średniaków wymaga historia na tym etapie ich walki i potrzeb? Pozwólcie, że jak na egzaminie, ocenę Wasz światopogląd. Powiedzieliście swoje z okazji Godzianowa. Przyjrzyjcie się sami temu, coście powiedzieli. Niech się również przyjrzy wielu innych młodych działaczy i studentów, którym na pierwszy rzut oka Wasze argumenty mogą wydawać się pociągające.

SPRAWA PIERWSZA: POGLĄD NA HISTORIĘ

Dyzma Gałaj w artykule „Przedsiębiorcy — działacze wsi” pokazał, że przez dziesiątki lat życie gospodarcze i społeczne Godzianowa organizowała trójka tych samych miejscowych gwiazd. Fakt ów wyjaśnił, jako wyraz historyczny (a nie przypadkowy i nie naturalny tzn. zawsze powtarzalny). To było specyfikum określonej epoki, inicjatywa określonej klasy na wsi. Inicjatywę tę zdefiniował w formule „kapitałistyczne uspołecznienie”.

A teraz — Wy. Wy też wyjaśnacie rządy trzech gwiazd. Szukacie argumentów na uzasadnienie ich inicjatyw, kierownictwa i panowania. Jakże to są argumenty? I) „Wejrzymy w historię i dopatrzmy się w niej prawa natury w ustroju rodowym”. Nic też chyba dziwnego, że w Godzianowie znalazł się Rybus, Burzyński, Sołtyśzewski.

Młody działacz! W historii nie ma prawa „natury”, są prawa przemian historycznych. W historii był natomiast okres „ustroju rodowego”. Założymy, że z niego wywodziła działalność i prawo do niej Rybusy. Cóżby to znaczyło? Najpierw, że w życiu Godzianowa przedłużyły się pozostałości średniowiecza (nawet na wiek XX). Było to możliwe, proszę przeczytać w tym numerze artykuł Grada. Po wtóre — że Rybus i kompania to figury z pochodzenia i z działalności zajmują-

ce wysokie pozycje w tej pośredniowiecznej strukturze wsi rodowo-kumoterskich powiązań społecznych. Ale w takim razie mamy do czynienia z tradycjami jeszcze większego zacofania niż kapitalistyczne. Mamy w najlepszym razie przełamywanie dopiero średniowiecza na rzecz inicjatywy kapitalistycznej. Rodowo — kumoterska wieś społeczna pozwala swej elicie na kapitalistyczną modernizację już w stadium przedsiębiorstw ale rodowo-kumotersko uspołecznionych.

I przy tej koncepcji (bardzo prawdopodobnej) mamy jednak do czynienia z etapem historii wsi. A Wy mówicie o wiecznym prawie natury w historii: ustroju rodowym. Młody działacz! Wy czytacie stare książeczki o mistyce słowianizmu. A o tej misticzności pisało się i wyjaśniało. Bez tej roboty rewizjonistycznej nie byłoby demokracji „Wi- ci”.

Wasz argument 2) „Kiedy nasza Polska była w pełni rozkwitu? Wtedy, kiedy na jej czele stał władca mądry i pracowity”. I dlatego Rybusy — jako mądzy władcy — mieli prawo rządzić wsią? Młody działacz z Bochenia! I to Wy, reprezentant wsi, która przez wieki była w niewoli pańszczyźnianej, a potem w okresie kapitalizmu, w wyzysku klasowym miejskiej, wiejskiej, krajowej i zagranicznej burżuazji. Wy powtarzacie burżuazyjny trick o tym, że historie tworzą jednostki i to jednostki odłączone i przeciwstawione — w rozumowaniu — społeczeństwu? Dla Was historia to nie dzieje klas i ich walk i nie podłoże materialne rozwoju zmian techniki produkcji, na którym układały się odpowiednio zmienione stosunki społeczne?

Nie, Młody Działacz! Nie wolno Wam mówić „o wzniosłości pracy społecznej i o jej przez Was zrozumieniu”, skoro nie rozumiecie, że ona jest klasowa i historyczna. Nawet ta sama klasa stoi na każdym etapie historii przed innymi celami i zadaniami historycznymi.

A dla Was to „krok za krokiem iść hen gdzieś do daleka zawieszoną latarni lepszego życia”. Hen, gdzieś daleko lepsze życie... obiecują także w niebie!

SPRAWA DRUGA: POGLĄD NA POLITYKĘ

Wy nie kwestionujecie, że Rybusy i kompania wiażali się z endecją i OZN-em, Ale

ich tłumaczycie: „Czy miniona konieczność nie wymagała kumania się z tamtą sferą?... „Trzeba było wszędzie pasować. Tego wymagała przeszłość” Młody Działacz, to co piszecie jest potworne! Odbieracie Rybusom nawet godność polityczną. Nie wiem, czy się podpiszą pod Waszym wyjaśnieniem. Ale nie o nich tu idzie — o Was, o Wasz pogląd. Widzicie w nich Wallenrodów (jeden był Wicarz), którzy kumają się z siłami wówczas rządzącymi, z siłami ugniatającymi wieś biedniacką i średniorolną — po to, aby dla swojej wsi wykraść ochłapy. Bo skoro były takie czasy rządów endecko-sanacyjnych, to znaczy dla wsi generalnie byle... gówno! Ale gwiazdory godzianowscy „wszędzie pasują” i z wrogami chłopów się „kumają”. A jaki wynik? Inny niż Wy wysnuwacie. „Która wieś miała zdolne jednostki, a te chciały pracować dla niej, to osiągnęła są na miarę Godzianowa”. Przecież wiecie, że kłamiecie. Prawda jest inna. Godzianów można było w Polsce przedwojennej policzyć na palcach. Jeszcze Albogowa, jeszcze Lisków i jeszcze co... i koniec! Kto tu kogo podszedł? Endecja i sanacja. Waszą wieś! To ona potrzebowała mieć takie Godzianowy, Albogowy i Liskowy, aby zatkać głębię wielomilionowym masom chłopiejskiej biedy. Odszukajcie we wsi zdolne jednostki, proście je o pracę społeczną, w każdej wsi będzie Godzianów. To było oszustwo rządów wyższych! Na taką pułapkę w takiej skali jak w Godzianowie złapać się mogli chłopcy zdradający interesy mas biednych chłopów. Zdolni do „pasowania wszędzie” i „kumania się” z tamą sferą”. Za pokazowe kumanie się wydeptywali fundusze na pokazową wieś. Na wieś, która na ile była pokazowa, na tyle miała być początkiem nowej epoki dla chłopów, ale gwałtownie do trumny dla całej klasy biednych chłopów.

W pojęciu „kumania się z tamtą sferą” tkwi sprzeczność. Bo kumać się to znaczy wiązać i przechodzić w „tamtą sferę”. I to było prawdą. Przecież spółdzielczość powstała jako samoobrona drobnych wytwórców, rzemieślników, robotników, potem chłopów przed wyzyskiem, który był klasowy i ustrojowy — przed wyzyskiem kapitalizmu.

A Rybusy nie działali według hasła „sami sobie”. Nie działali też jako reprezentanci społeczności gromadzkiej. Ten fakt Wy podkreślcie nieustannie. Oni się wsi napychali ze spółdzielni. Wy piszecie, że trzy razy się waliły, a oni je wznowiali i to z „własnych funduszy”. Wieć jak to było z tym, jak Wy nazywacie „interesem”? Idea spółdzielczości była tu zwinnością. Organizatorzy jej kumali się i pasowali do „tamtej wrożej sfery”. Pokazowa wieś kosztowała trochę rząd sanacyjny. Byli aktorzy teatryku wiejskiego przeszli do reżyserii wsi pokazowej, podnosząc niezmordowanie upadające spółdzielnie, co więc było ich interesem? Pokazowość wsi ze społecznymi przedsiębiorstwami, które oni stawiali, wznowiali i prowadzili jak widowisko przed wsią i Polską „kumając się”, „pasując” i wydeptując, co trzeba było, dla tego widowiskowego interesu. A dyrektorzy teatrów albo są opłacani, albo się sami opłacają. I grają takie sztuki, jakich się od nich żąda. Działacze skumani i pasujący do rządów kapitalistycznych, do klas burżuazyjnych, nie mogli grać dla publiczności swojej wsi — wsi biedniackiej i średniorolnej w Godzianowie i w Polsce. Grali dla tej wierzchołkowej części wsi, która w swych dążeniach od dawna ciągnęła do „tamtej sfery”.

Dłatego było to, jak pisał Gałaj, „uspołecznienie kapitalistyczne”.

Wyobraźcie sobie Młody Działacz, że przywódcy wszystkich wsi kumali się i pasowali do rządów sanacyjnych — czy byłby możliwy przewrót ustrojowy? Czy posunęłaby się historia wsi naprzód? Gałaj pokazał, że Rybusy nie byli wyrazieli i przywódcami klasowego interesu wsi średniorolnej i biedniackiej. Przywódcy chłopów biednych nie mogli i nie kumali się z wrogami klasowymi. Walczyli z nimi. Działacz społeczny nigdy się „nie kuma” i nie „pasuje wszędzie”. Walczy i zawiera sojusze z klasami, jak jego, uciśkanymi i walczącymi.

Przemysław Młody Działacz sprawę sojuszu robotniczo-chłopskiego na obecnym etapie w Polsce Ludowej. Sojusz zjednoczonej partii robotniczej z biednym i średnim chłopstwem. I wypłujcie raz na zawsze słowa „kumać się” i „pasować wszędzie”. Nigdy one nikogo nie rozgrzeszają, zawsze po-
Piotr Chmura

Jan Bolesław Ożóg

Z przyczółka dzikiej gruszy

(odpowiedź krytykom i recenzentom)

Radom, 1 listopada 1948 r.

Do Redakcji „WSI”
Od jakiegoś czasu spotyka się ustawicznie na łamach czasopism, a głównie „Wsi”, ataki na autentyzm i autentystów. W Nr 44 Br. Urbański w artykule p. t. „Drogi i rozdroża literatury chłopskiej” nie zdejmuje sobie całkowicie sprawy z tego, o co się właściwie bije autentyzm, znowu napada na „provincializm”, jak mu się zdaje, „Okolice Poetów”. Główne zarzuty oponentów zmieniają, zdaje się, do stwierdzenia, że autentyzmowi brak określonego bliźszego stosunku do zagadnień bieżącego życia. Proszę Redakcję o udzielenie mi głosu, abym mógł na zarzuty odpowiedzieć. Jedną stronę wypowiedziałam się już, jak mi się zdaje, całkowicie, czas więc na głos strony drugiej.

J. B. Ożóg

Marksisci, którzy przyznają, że hasła autentyzmu są dla nich czasem czymś aż za bardzo jasnym i bliskim, radzi by, realizując je, obdarzyć go światopoglądem socjalistycznym. Przypominają wypowiedzi bliskiego autentyzmowi (w ostatnim okresie twórczości) poety Ignacego Fika, który chce, żeby sztuka była metaforyzacją rzeczywistości, a ta rzeczywistość żeby kapłała się w barwach światopoglądu socjalistycznego. W rzeczy samej poematy Fika, w pewnym sensie bardzo autentystyczne, są ilustracją jego ideologii i miłą fotografią marzeń i ustroju, najbardziej postępowego i najbardziej wypełniającego postulaty wszystkich warstw społeczeństwa, za jaki uważa ustrój komunistyczny. Przykład: „Pieśń o Wiedniu”.

Na potwierdzenie, jak rozbieżne sady trafiają się u poetów na temat, który ustrój jest najbardziej postępowy, posłużyć może fakt, że nacjonaliści Dobrzyński i Pietrkiewicz upatrywali go przed wojną w narodowym faszyzmie, a ja w pewnym okresie w totalizmie chłopskim.

Wspominam o tym nie tylko dlatego, żeby wykazać, jak rozmaicie może wyglądać w odczuciu poetów w rozmaitych czasach metaforyzacja rzeczywistości, lecz nawiasem także i dlatego, żeby wreszcie odeprzeć najzupełniej bezpodstawne zarzuty, że autentyzm to tylko chłopski naturalizm i że autentyzmowi brak zabarwienia społecznego, a więc bliższego określonego stosunku do społeczeństwa.

Sąd taki co najmniej zdumiewa. W ogóle dziwne, żaden dotychczasowy prąd literacki nie zmobilizował przeciwko sobie tylu wrogów (nie tylko wśród grafomanów), nie wywołał tylu zdziwych sprzeciwów i insynuacji, które trzeba było przestawać i których trzeba się było ze zdziwieniem wypierać, co autentyzm.

Dzieje się to, myślę, dlatego, że autentysty są w przewadze z pochodzenia chłopami albo robotnikami, a u nas ciągle jeszcze utrzymują się mieszczańsko-szlacheckie uprzedzenia do wsi, czego się powojenni demokraci nie mogą jakoś pozbyć i skąd absolutnie nikt w naszym kochanym kraju nie chce zapoznać się dokładnie z teorią Czernika, drugie, że do krytyki właśnie autentyzmu zabierają się rozmaici podszczędzeni przez kanale (nie brak ich) początkujący studenci polonistów, którzy rabia na ślepo, na ile się im starcza, używając sobie ile wlezie, tym mocniej, im więcej przekonani o pełnej europejskości własnej pseudo-kultury wyniesionej z gimnazjum i ze skąpej lektury czasopism literackich — uczyć chcą głupich i zacofanych w ich mniemaniu kmotków, jak należy pisać.

Niedawno temu popularny krakowski poeta Jalu Kurek zwierzał się w „Dzienniku

Polskim”, że w swej podróży literackiej po kraju trafił m. in. także do Lublina. W mieście tym on, dziennikarz i pisarz, był po raz pierwszy w życiu. „Było się — wyznaje bez troski — w Barcelonie, Myślenicach, Tunisie, Rzymie, Tarnowie, a nie znało się Lublina”.

Całe dwa ostatnie pokolenia literackie to ludzie tego pokroju co Kurek, skądinąd wcale porządnymi obywatelami. W okresie jakiejś takiej wydajności bierze taki facet trochę forsy od rządu albo z jakiegoś dziennika i jedzie za granicę, właśnie do Rzymu czy Barcelony, albo... Argentyny, a na starość, gdy już nie ma o czym pisać, objeżdża kraj, napłkując z jakiegoś Radzyna o Kłaję, napisze to potem w jakimś „Dzienniku Polskim” i sądzi, że on, wielki mistrz i mag, jest już ze wszystkim w porządku. Tak u nas wygląda poznanie kraju.

Czy wobec takiego stosunku jednego i drugiego poety, uchodzącego w opinii powszechnej za bardzo nowoczesnego i bardzo europejskiego, do kraju i wszystkiego co krajowe można się dziwić, gdy okolice naszego rodzinnego autentyzmu w opinii hołoty literackiej uchodzą za Kłaję czy Pipidówkę?

Pechowi wyrobnicy pióra patronują obecnie nagonce na nas. Ten najzupełniej zwyrodniały rewizjonizm „rewolwerowy”, jak go trafnie nazwał swego czasu Czernik, przeszedł już, jak widać w obowiązującej tradycji, skoro do dzisiejszego dnia nie zamknięto jeszcze ujadanie recenzentów (Matuszewski, Kiwilszo, Lichniak itp.) i nie odezwał się głos sumienny krytyka, który by dyskusję o autentyzmie sprowadził na właściwe tory.

Ale do rzeczy.

Czernik pisał tak: „Zasadniczy kościół autentyzmu: poszukiwanie prawdy artystycznej w ścisłym związku z poszukiwaniem prawdy życiowej”.

Uważam, że słowa te nie stoją w żadnej kolizji z postulatami tzw. uspołecznionej literatury.

Kto nie trudzi się poszukiwaniem prawdy? Nawet marksista szuka prawdy. W rzeczy samej czym jest taka czy inna ideologia polityczna, jeśli nie próba szukania również w wysokim stopniu prawdy życiowej i szczęścia? Myślę, że uprawianie wszelkiego rodzaju tematyki, a więc m. in. i społecznej jest nakazane przez każdą poetykę i jest samo dla siebie zrozumiałe. Czernik wysuwał tej sprawy na czoło nie uważał po prostu za stosowne, wydaje się to tak oczywiste.

Gdzie indziej Czernik powiedział, że prawdziwy, mocno ukształtowany poeta staje się poetą społecznym przez sam proces tworzenia, nie uświadamiając sobie nawet tego, nawet gdy nie porusza spraw społecznych i nie walczy wyraźnie o nowy porządek świata. Wystarczy żeby tkwił korzeniami w życiu określonej grupy społecznej, skąd pochodzi.

Nie znaczy to oczywiście, żeby twórcy nie wolno było stać się, gdy tego wymaga chwila, czy jego osobista postawa etyczna, takim bojownikiem jak, dajmy na to, Majakowski.

Ani jednym słowem ani Czernik, ani ja i żaden w ogóle z autentystów nie wystąpił z potępieniem tego rodzaju twórczości, co poezja estradowa. Sztuka Majakowskiego była drożdżami i chlebem, na których urosło życie ZSRR i jego potęga. Daj Bóg, abyśmy wydali i my poetę o takiej skali talentu co autor „Lewa marsz”, który by przy — naturalnie — innej, własnej, oryginalnej technice dał nowym czasem treść tak życiodajną, jaką dał on!

Daleko do niego mają poeci naszej Awan-gardy — i myślę, że jeśli narodził się pisarz tej skali co rudy osilek z Moskwy, to narodził się w atmosferze właśnie autentyzmu.

Choć autentyzm nie wysuwa hasła tzw. poezji społecznej na front wszystkich zagadnień, to jednak dominuje ona w wypowiedziach czołowych jego przedstawicieli. Spotykamy się u tych poetów ze zrozumieniem najistotniejszych potrzeb, jakich się domaga postęp społeczny i życie. Ale poezja ta daleka jest od wulgarnego tzw. „poezji rewolucyjnej” tego typu, jaki często spotykaliśmy przed wojną w zgłębach nawolujących do rzuci i niszczenia, np. u Bronisława Kamińskiego czy Gronowicza, albo jaki w ostatniej chwili spotykamy często na łamach „Wsi”.

Potwierdzeniem uspołecznionego autentyzmu są przedwojenne i powojenne poezje „Okoliczan”. W „Powodzi i śmierci”, oraz w „Trudnym życiu” Czuchnowski żywo wieczuwa w byt chłopów i robotniczy. Przedwojenny Czernik w „Przyjaźni z ziemią” kreśli nędzę chłopów, któremu rad by oddać wszystkie węgiel, naftę i sól z kopalni, a Ożóg idzie jeszcze dalej, bo żąda w „Odzie polnej” wyłączenia władzy dla chłopów w państwie totalnym z marszałkiem — chłopem na czele.

O równości społecznej i prawo dla wsi rodzinnej dopomina się Frask w ujmujących poematach np. „Droga ojczyzna”, Dobrzyński zaś i St. R. Dobrowolski sprawę walki o prawa polityczne przenoszą na teren miasta.

Samo wkroczenie przed wojną w literaturę chłopów — autentystów było potężną manifestacją sił „dołów społecznych” przeciw siłom „elity”.

Po wojnie problematyka społeczna u autentystów rozszerza się i wybija na czoło we współczesnej literaturze.

Nedza — Kubiniec w poemacie o zbrojniku Janosiku, który chciał porównać świat, rysuje niedolę i nędzę wsi i szamotaninę się górali z panami i księżmi, mało tego, posuwa się dalej, czyni z Janosika bohatera narodowego, hetmana chłopskiego. Podobnie Kubisz w „Balladzie o hawirskim Śląsku” przenosi nas w odległe czasy pańszczyzniane i rzuca ciupagę w grafów niemieckich, którzy piją krew górników i chłopów nad Olzą.

W malowanych pawim piórami sielankach Frask kreśli kłótnie sąsiedzkie na wsi i zatargi graniczne, narastanie miasta w mieście polna, to samo próbuje za nim epigon jego imój, Edward Marzec, a ja (przepraszam za nieskromność, ale czasem pisanie o sobie jest obowiązkiem) zajmę się problemem repatriacji i osadnictwa na Ziemiach Odzyska-

nych („Prośba”, „Teraz Polna” w tomie „Jej wielki Wóz”).

Zbliżony do autentyzmu Ozga — Michalski w nierównym artystycznie, ale treściowo bardzo ciekawym „Poemacie nowosieleckim” powraca do głosnej „sprawy nowosieleckiej” i pojedynku chłopstwa z polityką Marszałka Rydza-Smigłego.

Nawet taki Olcha, któremu wprowadzić daleko jeszcze do autentyzmu doskonałości, ale który w wierszach poetyzujących parcelację ziemi („Moje pole”) zbliża się do ideału poety — autentysty, gdy zdobywa się na oryginalną treść, dogłębnie przeżyta, jest także pisarzem społecznym, o nowej, czynnej postawie wobec życia — w stopniu o wiele wyższym, niż dajmy na to, Jastrun, Przyboś czy... Włodek i Bratny.

Ci ostatni często usurpują dla siebie tytuł poetów społecznych, a nie pamiętają o tym, że o pisarstwie społecznym decyduje nie przynależność partyjna, ale właściwe dokonanie artystyczne połączone z czynem społecznym.

O to chodzi, by poeta rozumiał jak najsilniej interesy kraju i ziemi i żeby tej ziemi trzymał się rękami i nogami. Ziemia wychowuje i uczy. Kto rozumie ziemię, to choćby był robotnikiem, górnikiem, inteligentem, marynarzem, będzie czuł, jak czuje autentysta. Tu, na ziemi rośnie olimpijski ogień na wszelki użytek, nie na płycie kawiarnianego stołka.

Jakkolwiek by kto sądził, wydaje się nam oczywiste, że nigdy prawdziwej poezji nie stworzy poetyka — wyrosła jedynie z kalki „Kapitału” Marksa.

Mało też obserwacja. Nie wystarczy zwiedzić szyb węglowych i wystawę Ziemi Odzyskanych, żeby się stać poetą „nowej rzeczywistości”, jak nie wystarczy zobaczyć Gdańsk, czy Szczecin, żeby zostać marynistą.

Nie omyli się, kto to rozumie, że należy niekiedy zachować jak najdalej posunięty krytycyzm wobec tego, co nam życie przynosi w swojej torbie. To jest właśnie czynna postawa wobec życia, nie niewolnicze taszczenie na barkach tego, co ono nam daje. Rzeczywistość, nawet budowana przez nas albo budowana z naszą aprobatą oszukuje nas zbyt często. Musimy sami siebie mocno brać za pysk, jeśli nie chcemy, by nasze fantazyjne zachcianki, nasze plany, w zasadzie słuszne i dobre, nie przyniosły nam zagłady.

Cóż dopiero mówić o życiu, którego nie kontrolujemy, którego skontrolować w danej chwili nie jesteśmy w stanie. W tym wypadku musi być zachowana duża ostrożność do pory, nim nie stanie się ono naszą psychiczną, dogłębnie przeżyta własnością.

Mimo woli cisną mi się do warg słowa z anegdoty o chłopie, który wysłał synka do gimnazjum i na pożegnanie udziela mu ostatnich rad: „Do szkoły chodź, po mieście patrz naokoło, profesorów słuchaj, ale kuferkę zamykaj i swoje sobie myśl!” Właśnie: patrz naokoło i słuchaj, ale kuferkę zamykaj i swoje sobie myśl. To jest mądra zasada. Zdolna jest stworzyć życie.

Pamiętajmy, że ani jeden człowiek nie jest nieomylny, co dopiero program literacki! Życie buduje się ze sprzeczności i omyłek. Świat to dla nas ustawiczna niespodzianka. Trzeba umieć dobrze obserwować i dobrze wybierać, żeby nas nie pochłonął jama bagna, porośla ładna, zielona łąka.

Paulina Czyżowa

Odpowiedź poecie z przyczółka dzikiej gruski

Wystąpienia autentystów stają się już piętrzeniem powietrznej wieży, buduje się coś na czymś, co w ogóle nie istnieje. Stanisław Czernik nie podtrzymuje, nie rozwija swojej, jak Ożóg pisze, teorii, zajmuje się krytyką literacką — prywatnie, nie z pozycji przedstawiciela grupy. Stanisław Pięta odrzekł się jakiegokolwiek związku z autentyzmem. Jeden Jan Bolesław Ożóg otoczył się okopem, założył przyczółek wojenny „pod dziką gruszką” i dalej walczy, a właściwie tylko robi huczek dokoła swojej osoby szkodząc swoimi wystąpieniami publicystycznymi własnej poezji. Jan Bolesław Ożóg dobrze wiedział przesyłając swój artykuł o autentyzmie do redakcji „Wsi”, że kładzie rękę w paszczę lwa. To też polemika chyba go nie zdziwi.

Taktyka wojenna Ożoga niewątpliwie zmienia się i to należy zauważyć. Zmiana polega na tym, że Ożóg broni swoje „przyczółka” przeciagając go na pozycje przeciwnika. Tak jak np. drobno-mieszczanie bronią swego fideizmu wobec lewicy twierdzeniem, że chrześcijaństwo to prawdziwy socjalizm, tak i Ożóg przeciąga autentyzm na stronę, z którą polemizuje i deklaruje, teraz właśnie,

zgodność autentyzmu z socjalizmem, super-lewicowość teorii autentyzmu, przypisuje jej „charakter manifestacji kulturalnej „dołów społecznych” przeciwko kulturze elity i kawiarnianego stołka”.

Historia uczy. A jednak ta maskarada, jaką urządza Ożóg z autentyzmem, tym wyraźniej odsłania jego, a przede wszystkim własne — Ożoga niekonsekwencje, mówiąc nieco prościej — absurdy.

Filozoficzne założenia autentyzmu, jak je formułuje Ożóg, są zupełnie mętne i tak obszerne, że mieści się w nich wszystko. Co dobrego w literaturze — to autentyzyczne. Nawet polski Majakowski ma wyjść z atmosfery autentyzmu.

Dziwi się Ożóg niezmiernie, dlaczego to właśnie autentyzm budzi tyle protestów w świecie literackim i tą manią prześladowczą zdradza jeszcze raz swoją nieprawdopodobną zarozumiałość. Język polemiki Ożoga nie skłaniałby w ogóle do odpowiedzi, gdyby nie sprawy merytoryczne. Towarzystwo, do którego zwraca się Ożóg, to „hołota literacka”, młodzi krytycy — polonisci „poszczuci przez kanale”, „ujadający recenzenci” itd.

Przyczyną niepopularności autentyzmu doszukuje się Ożóg w tym, że przedsta-

wiciele tego „prądu literackiego” są z pochodzenia chłopami albo robotnikami, a w „naszym kochanym kraju” rządzą ciągle uprzedzenia mieszczańsko-szlacheckie.

Podejrzewania dzisiejszej krytyki literackiej o uprzedzenie do pisarzy pochodzenia chłopsko-robotniczego — jest poddyktowane jakimś dziwnym — jak powiedziałby Pięta — urazem społecznym. Rzecz się ma wręcz przeciwnie. Chucha się u nas i dmucha, jeśli można tak rzec, na chłopską literaturę. Wiele książek — powieści Gałaja, Mortona, Pogana, pamiętniki L. Rudnickiego — zostały przez krytykę ocenione nieraz wyżej obiektywnej wartości artystycznej ze względu na cenny materiał poznawczy, społeczny, jaki zawierają, ze względu na nową problematykę i świeży teren pisarskiej obserwacji.

Z poetami sprawa jest trudniejsza. Samo doświadczenie społeczne wynikające z pochodzenia, jak mówi Ożóg — „z warstw dołowych” — nie wystarcza. Gdybyśmy zresztą nawet spróbowali prześledzić tzw. chłopską poezję ze względu na treść społecznego doświadczenia, jakie zawiera — okazałaby się ona dość uboga. Recenzje krytyczne z tomików

poetów chłopskich stwierdziły określoną w każdym wypadku konwencjonalność literacką tej poezji. Poeci chłopscy piszą o wsi w kategoriach poetyki mieszczańsko-inteligenckiej, bo nie istnieje żadna robotniczo-chłopska poetyka, natomiast wydzwięk ideologiczny ich ujęcia wsi da się również łatwo umieścić w mieszczańskich ideologiach łączenia się z ludem, powracania do wsi, do chłopstwa jako do prymitywnego człowieka natury, do ziemi.

Chłopskie przywiązanie do ziemi — określała ekonomiczna sytuacja wsi polskiej polegająca na głodzie ziemi wynikłym z przełudnienia i na przymusowym zamknięciu środowiska pozbawionego szerszego ujęcia do przemysłu. „Przywiązanie do ziemi” wyganiało chłopów ze wsi do Ameryki, jechali oni z myślą, że po powrocie dokupią morgów, „przywiązanie do ziemi” kazało bogatemu chłopu dokupywać ziemi od zadłużonych wiejskich biedaków, wreszcie „przywiązanie do ziemi” wypychało pozbawionych roli do fabryk i kopalni, gdzie stawali się i faktycznie, i w świadomości polską klasą robotniczą.

Taki był charakter tej chłopskiej miłości do ziemi — albo wyzysk drobno-

rolnego, albo marzenie o mieście, z jego fabrykami, czy z drobnomieszczańskim, wyższym cywilizacyjnie stylem życia. Czysty mit ziemi zachował się tylko u naturalistów mieszczańskich, burżuazyjnych anty-urbanistów i moralistów. Typowym i wpływowym przedstawicielem tego kierunku był Bertrand Russell, obrońca natury przeciwko cywilizacji technicznej.

Analogicznie i u Ożoga ten mit ziemi wyrażony jest w formie niemal parodystycznej. „Ziemia wychowuje i uczy”, bez zrozumienia ziemi nie można być poetą. Poetom ziemi przeciwstawia Ożóg poetów „kawiarnianego stolika”. Ci pierwsi tylko są społeczni i moralni.

Nie zamierzamy dowodzić absurdalności „totalizmu chłopskiego” Ożoga. Ona jest zbyt jasna. Natomiast jego postawa krytycyzmu wobec tego, „co życie przynosi w swojej torbie”, jego relatywizm społeczny i teoria niespodzianki („Świat to dla nas ustawiczna niespodzianka”) — są już wymierzone wprost w marksizm a nawet w ustrój: „Do szkoły chodź, po mieście patrz naokoło, profesorów słuchaj, ale kuferek zamykaj i swoje sobie myśl”.

Dla tych, którzy wierzą w możliwość naukowej wiedzy o świecie i życiu społecznym, którzy więc mają kult dla myśli systemowej, uporządkowanej, którzy nie uznają antynomii między światem praktycznego działania, a własną myślą, rozumowanie Ożoga jest nie tylko błędne, jest niemoralne. „Kuferek zamykaj i swoje sobie myśl” — to zasada na czasy terroru, okupacji i konspiracji, a nie ustroju robotników i chłopów, do których zalicza się Ożóg, ustroju, w którym ze względu na swoje chłopskie pochodzenie czuje się wraz z całym autentyzmem lekceważony i prześladowany.

Jeśli Ożóg nie zgadza się z nami, nie zgadza się z rzeczywistością społeczną, niech stoi po przeciwnej stronie, niech walczy. Przybieranie jednak maski zasadniczego godzenia się z marksizmem, po to, aby się odciąć od niego w praktyce, jest walką przewrotną.

A przede wszystkim przestańcie się stroić, chłopscy poeci „spod dzikiej gruszki” w ludowe sukmany, obryzane błotem pędzącego wozu historii. Bo wasz przedwojenny „totalizm chłopski” to była — zwyczajnie — aprobata rewolucji tylko i wyłącznie burżuazyjnej, stawianie na wieś idącą pod dyktando kulaków i kapitalistów wiejskich. Postawił tę zasadę agraryzm, odcinając teoretycznie „całą wieś” od klasy robotniczej. Praktycznie realizował ją Mikołajczyk w „partii dla wszystkich”, która miała być podstawą „demokracji drobnomieszczańskiej”, a drobnomieszczaństwo (wraz z kulakami) miało z kolei powierzyć taką ojczyznę imperializmowi anglosaskiemu. Miało — znaczy to — i — musiało.

Bo wasz powojenny relatywizm, uznawanie wszystkiego, co się dzieje w Polsce, za względne, ostrzem swym zwraca się przeciw biedocie wiejskiej, to znaczy podstawowej masie wsi, wzmagając wahańia średniaka i odstrasza go od jedności biedoty i jednoci jednych i drugich z klasą robotniczą. Z klasą robotniczą, której rewolucja dała chłopu ziemię obszarniczą, której rewolucja wyzwoliła go spodarczo, tym samym politycznym, którego z niewoli kapitalizmu imperialnego, której to klasy robotniczej sojusz ze wsią zacieśnia się coraz mocniej i coraz wyraźniej, ze wsią wyzyskiwaną kapitalistycznie, przeciw tym na wsi i tym w mieście, którzy jeszcze wyzyskują, przeciw systemowi kapitalistycznemu, jaki w ich praktyce utrzymuje się jeszcze hamując rozwój lepszej, a wspólnej, przyszłości całego świata pracy w Polsce.

Zaiste, od „totalizmu chłopskiego”, do względności świata jako niespodzianki — to droga do przyczółka wsteczności... „dzikiej gruszki”.

Paulina Czyżowa

ADMINISTRACJA TYG. SPOL. - LIT.
„WIES” PRZYPOMINA O WPLACIE ZA-
LEGŁEJ RENUMERATY ZA ROK 1948.

ADMINISTRACJA

Zdzisław Ochęduszek

Pisze się dużo i więcej jeszcze mówi o konieczności odnowienia naszej humanistyki, o potrzebie zaznajomienia z bogatymi osiągnięciami nauki sowieckiej: medycyny, agrotechniki, biologii, o poparciu przez nasze władze oświatowe pracowników umysłowych-marksistów, o tzw. „szkoleniu kadr”. Ale — rzecz znamienna — ten właśnie, tak istotny podręcznikowy „odcinek” (żeby użyć modnego słowa) zostaje całkiem zaniedbany w programie miesięca polsko-radzieckiej wymiany kulturalnej. Co więcej: leży odłogiem także przez pozostałe 11 miesięcy roku... I tak od czterech lat. Czas mija, dzieci rosną, młodzież dojrzewa, uczy się... — Czego się uczy?

W każdym ośrodku uniwersyteckim znaleźć można kilka, jeśli nie kilkanaście, wydanych po wojnie skryptów przestarzałych z punktu widzenia współczesnej nauki i zacofanych z punktu widzenia nowoczesnej metodologii. Przy każdej też bez mała katedrze humanistycznej znajduje się wykaz obowiązującej studenta lektury, zawierający anachroniczne prace naukowe, wydawnictwa zaś wstecznych ideologicznie i przestarzałych metodycznie dzieł firmują najpoważniejsze naukowe instytucje. „Dostatecznie wiele tych plodów zasuszonej wiedzy nalyka się młodzież akademicka w ciągu kilku lat studiów. — A skutki? — Widoczne jak na dłoni.

Adam Ważyk w ciekawym artykule „Kilka słów o metodzie” („Kuznica” nr 39, s. 1) stwierdza z przekąsem, że „w ciągu trzech lat nie wpłynęły w publicystyce literackiej nowe nazwiska wykształ-

Jerzy Smutny

22 lipca bieżącego roku, w 4 Rocznicę Manifestu Lipcowego ukazał się pierwszy numer „Pokolenia”, czołowego dwutygodnika Związku Młodzieży Polskiej.

Sytuacja na odcinku młodzieżowym postawiła przed pismem szereg ważnych i odpowiedzialnych zadań do spełnienia. Nowopowstający Związek Młodzieży Polskiej musi wykonać w pierwszym etapie olbrzymią robotę jednoczenia poszczególnych organizacji w terenie. Należało się spodziewać, że akcję zjednoczeniową prowadzoną na szczeblu wojewódzkim, powiatowym i gminnym wespiera w poważnym stopniu Naczelny Organ tworzącego się ZMP. Jest przecież jasne, że centralne pismo młodzieżowe powinno choć w części usuwać trudności ideologiczne, z którymi spotykał się i nadal jeszcze spotyka młody aktywista prowadzący pracę zjednoczeniową w terenie. Z faktu stworzenia jednej organizacji młodzieżowej nie wynika bynajmniej, że zanika potrzeba pisma instruktującego działalność poszczególnych jej ogniw. Wprost przeciwnie — prowadzenie pracy instruktoryjnej poprzez pismo jest daleko potrzebniejsze teraz, niż przed zjednoczeniem.

Młody ZMP-owiec, szczególnie aktywista, musi widzieć jak funkcjonują poszczególne ognia organizacji. Chodzi jednak jeszcze o coś więcej. „Pokolenie” winno zorganizować nie tylko sprawnie funkcjonującą sieć korespondentów terenowych, ale też prowadzić na swoich łamach wymiany doświadczeń nabywanych przez poszczególne ośrodki organizacyjne.

I jeszcze jedna uwaga. Związek Młodzieży Polskiej jest częścią Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, jest częścią wielkiego antyimperialistycznego frontu. Wynika z tego faktu konieczność utrzymywania ZMP-u w stałej łączności z resztą demokratycznej młodzieży całego świata. Pod tym względem rola czołowego pisma młodego pokolenia jest szczególnie ważna.

Takie postulaty pod adresem „Pokolenia” wysuwane były i są wysuwane przez członków Związku Młodzieży Polskiej.

Zastanówmy się teraz, czy Komitet Redakcyjny miał warunki na wykonanie tych schematycznie i tylko w części wyznaczonych zadań. Wydaje się, że tak. Przede wszystkim dysponował dorobkiem i doświadczeniem pism dawnych organizacji młodzieżowych.

„Wici” i „Wolna Wiciowa Gromada”, zwłaszcza w ostatnim okresie swego istnienia, stanowiły dobry wzór pism — instruktaży dla chłopskich aktywistów młodzieżowych. Obydwa te pisma były, jak wiadomo, ściśle powiązane z terenem siecią sprawnie funkcjonujących korespondentów. Podobnie na odcinku miejskim — „Walka Młodych”, która utrzymywała ponadto żywy kontakt z zagranicznymi ośrodkami młodzieży demokratycznej.

„Pokolenie” miało więc warunki na zgrupowanie w gronie najbliższych współpracowników — rozproszonych po dawnych pismach piór młodzieżowych i co więcej — mogło wykorzystywać osiągnięcia tych pism.

Tymczasem po przeczytaniu 9 numerów „Pokolenia”, jakie dotąd wyszły, nasuwa się wniosek, że stało się tak tylko w części.

Pierwszy numer pisma ukazał się w dwa dni po wrocławskim kongresie zjednoczeniowym. Wypełniły go zapowiedzi wielkiej pracy nad łączeniem dawnych organizacji młodzieżowych, oświadczenia przewodniczących dawnych „Wici”, ZWM-u i TUR-u i deklaracja ideowo-programowa ZMP. Równocześnie ruszyła zjednoczeniowa robota w terenie. Ale tej niełatwej przecież i odpowiedzialnej pracy „Pokolenie” z pomocą nie poszło.

Młody, zapracowany i często niedoświadczony aktywista z terenu daremnie szuka w następnych numerach wskazówek dla akcji zjednoczeniowej. Jasne jest, że instruk-

DROGI DO MARKSIZMU

cone na marksizmie”. Spotykamy natomiast — według niego — „wielu młodych krytyków wkładających dużo zapалу w rozważania socjologiczne”.

Można by najpierw kwestionować to „wielu”, skoro młodych socjologizujących krytyków da się policzyć na palcach obu rąk — Ale mniejsza z tym! Można też odesłać Ważyka do obrad zakończonych przed niewieloma dniami III zjazdu polonistów, aby tam przekonał się o słuszności — czy raczej niesłuszności swej tezy. Ale i to nie jest w tej chwili najważniejsze. — Przede wszystkim nie można zgodzić się na zdziwienie czy oburzenie Ważyka jeśli chodzi o meritum sprawy.

Jest grupka krytyków — socjologów? No tak, ale robił dla nich przez dwa lata wykłady prof. Chałasiński, chuchał i dmuchał na nich Kott, brał ich pod opiekuncze skrzydła sam Żółkiewski! Brała „Wies”.

Nie ma — jak twierdzi Ważyk — krytyków-marksistów? A skądże być mają? Z czterech czy pięciu przełożonych na polski język artykułów świętego Lukacza? Z jednego lub dwu fragmentów Winogrodowa (w niesłusznym zresztą tłumaczeniu?). — Metoda i umiejętność jej stosowania nie rodzą się z dnia na dzień. Jedna jaskółka nie czyni wiosny. Już sam przebieg zjazdu polonistów dowodzi, że jak na istniejące obiektywne warunki — młodzi zrobili niemało.

Nie oni też muszą uderzyć się w piersi. Nie oni zaspiały gruszek w popiele! Winne są tu braki w planowej gospodarce organizacji nauki.

„P O K O L E N I E”

cje rozchodzą się przede wszystkim drogą organizacyjną. Ale w takim razie „Pokolenie” powinno być miejscem, z którego widać by się wyraźnie oddziaływanie i zasięg tych instrukcji. Młody aktywista nie znajduje także oparcia ideologicznego w piśmie. Hasła — „budujemy radosną przyszłość”, „kroczymy w pierwszych szeregach”, owe skróty — mają zapewne znaczenie na uroczystych akademiach, ale w praktycznej działalności terenowej potrzebne są konkretne wypracowane wzory oddziaływania społeczno politycznego. „Pokolenie” zrezygnowało jednak z funkcji instruktażowej koniecznego dla nowo powstającego Związku Młodzieży Polskiej „List otwartego do koła ZMP” — Mieczysława Grada stanowi doskonały wzór wyjaśnienia członkom zjednoczonej organizacji młodzieżowej ich bieżących zadań. Ale jest to jeden jedyny wyjątek na przestrzeni 9 numerów.

Na podstawie lektury czołowego pisma

Andrzej Wróblewski

JESZCZE W SPRAWIE SZKÓŁ PLASTYCZNYCH

Obecne wyższe szkolnictwo artystyczne stoi pod znakiem kapizmu. Jest to polska odmiana francuskiego impresjonizmu w jego formie schyłkowej. Genealogia jest więc niepokojąca. Analiza twórczości kapistów prowadzi do wniosków krytycznych. Najpierw (1), doktryna ich jest czystym formalizmem: zadaniem artysty jest wyrażenie przestrzennych i światłocienowych elementów rzeczywistości — barwą, przy zachowaniu zasadniczej dekoracji płótna. Następnie (2), metoda pracy budzi zarzut aspołeczności: malarz eliminuje wszystko, co nie wchodzi bezpośrednio w zakres doktryny, dla precyzji swej pracy analitycznej. Dezaktywizuje obraz oderwaniem go od rzeczywistości i nie uwzględnia, w swych kolorystycznych kombinacjach, potrzeb odbiorcy. Wreszcie wymieniony formalizm doktryny (1) i aspołeczna metoda pracy (2), powodują z kolei niezdolność do wypełniania konkretnych zamówień społecznych (3), — i do wzbudzenia jakiegokolwiek oddźwięku w społeczeństwie. — Salony związkowe z przewagą malarstwa kapitalistycznego budzą tylko pesymistyczne refleksje o nieprzydatności „sztalugowców” w dzisiejszym społeczeństwie.

Akademia jako forma wyższej uczelni artystycznej jest obciążona dziedzicznie konserwatyzmem. Opiera się na następującej koncepcji szkolenia malarza-twórcy: Młody i uzdolniony student powinien poznać dobrze sztukę dojrzałej generacji. Z jednej strony, nauczy się dyscypliny pracy, która w każdej epoce jest ta sama, z drugiej, w twórczości swych profesorów znajdzie punkt oparcia dla własnego rozwoju, przez co zostanie zachowana logicznie ewolucja szkół malarskich.

Powyższa koncepcja mogła być słuszną w okresie stabilizacji społeczeństw lub klas, którym sztuka służyła. Mogła być słuszną w czasach społecznej izolacji sztuki

Są gdzieś — nie tak daleko nawet — doświadczenia uczonych radzieckich, są podręczniki, rozprawy, wyniki pracy wielu lat i pokoleń. Korzystają z nich z powodzeniem setki tysięcy studentów radzieckich, gdy dla naszych drukuje się wciąż jeszcze tomy metafizycznej „Nauki Polskiej”, urągającej pojęciu nauki i wydając broszurki prof. Białobrzelskiego, nie wiadomo dla jakich zalet zalecone przez Ministerstwo Oświaty do użytku szkolnego.

Są też gdzieś, oczywiście — trochę dalej, lecz jeszcze w naszym zasięgu — francuskie prace z marksistowskiej teorii kultury, ale nasi liczni referenci nauki, kultury, prasy i propagandy, żywni na ciężkie państwowe pieniądze w podupadającej „stolicy świata”, przysyłają tylko tuzinkowe wiersze i kilometry artykuły o Sartre, którego znamy raptem dwie sztuczki (o dwie za dużo), ale o którym czytaliśmy już ze trzydzieści nudnych artykułów. Gdzie proporcja, panowie? Bokiem wychodzi nam Sartre, z którym wystarczająco chyba „załatwił się” Ważyk w „Kuznicy” przed rokiem — a o pracach z marksistowskiej teorii kultury śnimy po nocach jak o zakazanych jabłkach.

Będzie tak dopóty, dopóki dobra wola młodych napotykać będzie tylko na dobre chęci — i to ich własne. Dopóki wielkie wołanie o książki rosyjskie, francuskie — wszystko jedno zresztą jakie, byle dobre, postępowe, marksistowskie — wołanie o przekłady najcenniejszych podręczników i prac radzieckich będzie głosem wołających na puszczy.

Z.M.P. nie może odtworzyć sobie nawet uważny czytelnik, jak właściwie funkcjonują terenowe koła i zarządy. „Pokolenie” nie ma stałych, rozrzuconych po całym kraju, korespondentów. W piśmie nie słychać głosów z terenu, nie widać wymiany doświadczeń, nie pojawiają się także tematy do dyskusji, brak projektów mogących posunąć organizację w jej rozwoju. Pewno, że cenne informacje z życia Z.M.P. na prowincji zawiera list Jana Dąbka — instruktora, ale znowu jest to jedyny wypadek na przestrzeni 9 numerów pisma.

Owszem, bogato reprezentowany jest dział międzynarodowych wydarzeń politycznych. Odnosi się wrażenie, że Komitet Redakcyjny wie znacznie więcej co dzieje się w Vietnamie niż w prowincjonalnym kole Związku Młodzieży Polskiej. Jest to jednak tylko w części pocieszające, ponieważ te same roboty wykonują właściwie wszystkie dzienniki w kraju.

ki i jej zupełnie autonomicznego rozwoju. Malarstwo w społeczeństwie dzisiejszym jest jednym ze środków wychowawczych i, narówni z literaturą, muzyką i teatrem, czerpie swój materiał i określa swe cele na podstawie życia społeczeństwa, które mu służy. Kształcenie artysty nie może polegać tylko na wtajemniczeniu go w sztukę, która właśnie osiągnęła swój punkt szczytowy i stała się akademizmem, a to z następujących powodów: rozwój sztuki jest wyrazem rozwoju społeczeństwa a nie ewolucją oderwaną; sztukę nową determinuje nie przestarzała sztuka poprzedniej epoki, lecz nowy kontekst społeczny epoki dzisiejszej; w naszej sytuacji sztuka, która doszła do punktu szczytowego, jest kapizm, kierunek, ukształtowany w okresie międzywojennym, i, jak próbowałem wykazać, z gruntu aspołeczny.

Akademia powinna dziś spełniać, oprócz swej tradycyjnej roli „wtajemniczenia”, obowiązki, narzucone jej przez potrzeby chwili: powinna potęgować kontakt studenta ze społeczeństwem, uczyć go włączania życia społeczeństwa w zakres zainteresowań artystycznych. Akademia powinna być instytucją, ułatwiającą studentowi kontakt z wszelką sztuką, najstarszą i najnowsza. Powinna popierać eksperymenty, stwarzać jak najbogatsze środowisko koleżeńskie, uczyć wcześniej odpowiednie działalności wystąpień publicznych. Nie czuje się zresztą na siłach do podania choćby przybliżonego wykazu rzeczy, które by powinny być zmienione. Niniejszy artykuł ma służyć raczej do postawienia sprawy reformy Akademii na porządku dziennym. Sam program tej reformy, to dopiero przyszłe zadanie czynników rządowych i pedagogicznych z jednej strony, a samych studentów (zwłaszcza ich bardziej uświadomionej części, zrzeszonej w ZAMP i kołach artystycznych) — z drugiej strony.

Ponowny wybór Trumana

Nader szybko sprawdziły się słowa Stalina, że imperialiści pragną wojny, ale nie mogą jej prowokować, gdyż narody są przeciwne wojnie. W Ameryce podlegające wojenni od dwóch mniej więcej lat prowadzą intensywną propagandę wojenną. Straszają naród groźbą jakiejś obcej inwazji. Kłamią i szkalują. Przy tym — potrafią groźnie bombą atomową. Kiedyś nawet gen. Clay krzyknął patetycznie, że będzie bronił zbrojnie Berlina. Rzeczywiście krzychał. I oczywiście przyrzeczenia nie wypełnił. Bo łatwiej jest mówić — niż robić. Łatwiej jest ogłupiać naród amerykański — niż pociągnąć go do walki przeciw urojonemu przeciwnikowi. Czy myślicie, że naród amerykański nie zadaje sobie pytania — kto stanowi większe niebezpieczeństwo: odradzający się faszyzm niemiecki i japoński, czy też Związek Radziecki, który ocalał świat i cywilizację przed zalewem nowoczesnego barbarzyństwa? Czy myślicie, że miliony ludzi w Ameryce — poza „wszechsłyszczącym” uchem Komisji do Badań Działalności Antyamerykańskiej — nie szukają przyczyn wzrostu cen, strajków, rozprzestrzeniania się bezrobocia — i doprawdy nie rozumie, dlaczego rząd amerykański miał zatroszczyć się o poprawę bytu i warunków materialnych swego narodu i rozwiązania trudności gospodarczych, w jakich znalazł się kraj — mówi o wojnie, która na pewno nie podniesie stopy życiowej szerokich mas ludności amerykańskiej — i zbawienia szuka w bombie atomowej, która, jak dotąd, nie przyczyniła się do podniesienia stopy gospodarczej, tylko zniszczenia? Tego rodzaju pytania drażą umysły obywateli Stanów Zjednoczonych.

Te nastroje wyczuł Truman. Zagrał na nich. I wygrał — ponowną czteroletnią kadencję w Białym Domu. Czy wyciągnie na przyszłość wnioski z tych wydarzeń i nastrojów narodu amerykańskiego? Czy zrozumie, że jest on przeciwny polityce terrorku, strachu, wojny i Komisji Badań Działalności Antyamerykańskiej? Zależy to od jego wyczucia politycznego i ludzi, jakimi się otoczy. Istotne jest jednak, że będzie musiał się liczyć — chcąc nie chcąc — z antywojennymi nastrojami narodu amerykańskiego.

K. S.

Co ze szkołami na wsi

W ubiegłym roku szkolnym wiejskich szkół powszechnych było 19.485. Jest to cyfra stosunkowo duża, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę zniszczenia wojenne na tym odcinku i znaczny ubytek ludności. Nie znaczy to jednak, aby problem oświaty powszechnej na naszej wsi przedstawiał się dobrze. Cóż bowiem mówi statystyka?

Mówi, że na 19.485 wiejskich szkół powszechnych mamy jeszcze 8.437 szkół o jednym nauczycielu, a więc około 40 proc. W takich szkołach uczyło się ubiegłego roku 455.000 młodzieży chłopskiej. Cóż to oznacza?

1) W szkole o jednym nauczycielu młodzież uczy się tylko 15 godzin tygodniowo, podczas gdy w pełni obsadzonej — 22 godziny. W skali rocznej tracą tu dzieci chłopskie 224 godziny nauki, ponieważ uczą się w ciągu roku szkolnego jedynie 480 godzin. Pełna szkoła zapewnia 704 godziny nauki.

2) Wartość nauczania w szkołach o jednym nauczycielu jest niewystarczająca. Nauczyciel pracuje rano i po południu ucząc równocześnie dwie klasy w jednej sali (głośne i ciche zajęcia).

3) W szkole o jednym nauczycielu jest trudno ożywić życie społeczne młodzieży. Nie ma tam zazwyczaj ani świetlicy, ani chóru, zorganizowanego czytelnictwa itp. Natomiast samotniony nauczyciel nie znajduje warunków na pogłębienie i poszerzenie własnych wiadomości.

4) Szkoły o jednym nauczycielu dają wykształcenie najwyższe w zakresie 4 klas. Po ich ukończeniu nie może młodzież przejść do szkół średnich. Dlatego wiś nad nią bardzo często widmo wtórnego analfabetyzmu.

Wydaje się, że sytuacja na odcinku kształcenia nauczycieli przedstawia się nieźle. W roku szkolnym 1945/46 uczyło się w liceach pedagogicznych, kursach pedagogicznych i w szkołach przygotowawczych — 18.800 przyszłych nauczycieli i nauczycielek. W bieżącym roku szkolnym cyfra jest jeszcze większa.

Gorzej jest jednak z budownictwem szkół. Przed samą wojną co druga szkoła wiejska mieściła się w wynajętym, przeważnie jednoizbowym lokalu. Nie mam pod ręką aktualnych cyfr, myślę jednak, że obecnie sytuacja nie uległa poważniejszemu zmianom. Stąd też zagadnienie budowy szkół wieloizbowych staje się bardzo ważne. Jasne, że nie wystarczy tu pomoc państwa. Trzeba pomyśleć o społecznej akcji budowy szkół wychodzącej od samych chłopów.

Jest więc duże i ważne pole do działania dla partii politycznych, Służby Polsce, wiejskich kół Związku Młodzieży Polskiej. Bo przecież sprawa pełnej oświaty powszechnej na wsi, to w znacznej mierze sprawa wieloizbowych budynków szkolnych.

p. p.

Lekcja wychowania

W „Tygodniku Powszechnym” (Nr 45) ukazał się „List pasterski Episkopatu Polskiego”.

Władcy Kościoła katolickiego w Polsce starają się na wstępie przekonać wiernych o życiowości Ojca św. dla Polski. Przekazują naszym krajowi zapewnienie i Ojca św. i Sekretariatu stanu Jego Świętobliwości, że nigdy nie kwestionowali ani granic Rzeczypospolitej Polski, i że nigdy nie myśleli zajmować się sprawą granic, o których stanowią nie czynnik kościelny, lecz międzynarodowe umowy.

F A K T Y i Z D A N I A

Szeroko otwieramy na to oświadczenie. Na przestrzeni ostatnich dwóch lat każdy nieuprzedzony czytelnik mógł obserwować wyteżoną działalność księcia Kościół, wiążącą akcjami dyplomatycznymi Watykan i USA, Watykan i Hiszpanię gen. Franco, Watykan i Niemcy stref zachodnich a wreszcie Watykan i Francję z rosnącymi wpływami gen. de Gaulle'a.

„Verba volant, scripta manent”. W związku z naszymi granicami zachodnimi sporo napisali niemieccy dostojnicy Kościoła katolickiego. Zakładając dyscyplinę hierarchii: kościelnej, nie można sobie wyobrazić, żeby ich oświadczenia nie były opatrzone papieskim „nihil obstat”.

Nie kwestionujemy ojcowskiej miłości Ojca św. dla narodu polskiego, nie zaprzeczamy jego przyjaznego stosunku do Polski. Pytanie tylko, jaką Polskę zechciałby papież obdarzać uczuciami swojej sympatii? Wynika to jasno z treści zamieszczonego listu pasterskiego. Mamy tu kilka sformułowań, które są równoznacznikiem Polski dzisiejszych przemian społecznych. Polska ta ogarnięta jest „zarazą rozróżnych obyczajów”, w tej Polsce „niejedno serce tworzy się i popada w odrętwienie”, „narod polski nie upada jednak na duchu, nie gubi się w skargach i lamentach”. Oto kilka typowych określeń, malujących sytuację kraju. Ojciec św. błaga Boga, „by ten kraj pod roztropnym a troskliwym przewodnictwem dostojnego Episkopatu mógł zawsze i słusznie szczycić się chwalebny tytułem swej niezłomnej wiary”.

Episkopat nasz daje w związku z tym cały szereg wskazań: rodzice katolicy nie powinni się troszczyć o to, by dzieci ich otrzymywały wiedzę, zdobyły zawód, by tą wiedzą i zawodem przyczyniały się do odbudowy zniszczonego kraju, by umiały kierować nim w przyszłości według zasad sprawiedliwości społecznej, gdzie nie ma wyzysku człowieka przez człowieka. Kardynał troska rodziców ma być nieposyłanie dzieci do szkół, z których usunięto naukę religii.

„Dziecko już na kolanach matki ma uczyć się znaku krzyża św. i krótkiego pacierza, w wieku przedszkolnym ma ono poznać Chrystusa i Matkę Najświętszą, kochać rzeźby święte, brać udział we wspólnym pacierzu. Młodzież dorastająca ma wypełniać swoje życie religijne przez liturgię i sakramenta św.”.

Zasady wiary katolickiej są wieczne i niezmiennione, niezmienny jest również jej system wychowawczy. Należy więc przypuszczać, że odwołanie się do historii potwierdzi nam, czy system ten dawał dobre rezultaty. Redakcja nasza otrzymała właśnie od Władysława Błażucha materiały, omawiające broszurę Jana Nepomucena Janowskiego (1862 r.). W broszurze tej autor powołuje się na dokumenty „Litvanicorum Soc. Jesu historiarum libri X”. Dowiadujemy się stąd, że z nadania Jezuitów organizowały się w XVII w. sekty bieżowników, które miały umacniać wiernych w przywiązaniu do wiary. Członkowie tych sekt rozwijali niewątpliwie dużą inwencję. Między nimi znalazł się i Albrecht ks. Radziwiłł, „który wymyślił sobie taką machinę, w której się pewnych czasów zamykać kazał. Ta tak misternie zrobiona była, że się w niej ani ręką, ani nogą ruszyć nie mógł, albowiem zupełnie był zamknięty, oprócz tyłu, w który go uczynionym ku temu celowi otworem — użyte do tego celu osoby różgami siekły”...

Polska XVII wieku była najbardziej katolickim krajem w Europie, na skutek tego miała jezuickie szkoły, no i miała sekcje bieżowników — nie zapewniło jej to jednak rozwoju gospodarczego, nie wpłynęło na rozwój nauk, nie podniosło kultury, nie dało postępu społecznego, przeciwnie, prowadziło nieuchronnie do ruiny narodowej i utraty niepodległości. Dzisiaj, gdy naród w nowym ustroju w niesłychanym trudzie przebudowyje swój system produkcji, gdy na wszystkich szczeblach dokonują się przemiany społeczne i kulturalne — dzisiaj Episkopat Polski zaleca nam wychowywanie młodzieży w duchu, który w przeszłości zrodził nam Albrechtów, Radziwiłłów.

Młodzież polska uczy się historii, młodzież polska już wie, co to jest naukowy pogląd na świat, wie również, że „krwawe przewroty” to nie kara Boża za bezbożność i rozpu-

stę, ale konieczne fakty historyczne, świadczące o postępie społecznym.

M. K.

Co kogo?

Różne są troski i zainteresowania w naszej dzisiejszej rzeczywistości, różne zależności od tego, z jakich kręgów społecznych i tradycji wychodzą. Episkopat nasz troszczy się generalnie, by „domy polskie promieniowały cnotą, skromnością, pracowitością, uczciwością, pobożnością, pięknymi tradycjami religijnymi i narodowymi”.

Czołowy publicysta katolicki — Kisiel w swoich felietonach „Pod włos” będzie wspierał utwierdzenie pięknych tradycji religijnych i narodowych. Jeżeli jego zapowiedzi felietonów w „Tygodniku Powszechnym” nie są kawałem (a Kisiel lubi nabierać swoich czytelników) — no to rzeczywiście i na tej „niwie” można zauważyć subtelnie rozgrywaną „walkę klasową”. Wszystko może być naturalnie żartem, dlatego nie czas na wyciąganie konsekwencji. „Żart jednak niech się żartem odciska”.

Kisiel obiecuje swoim czytelnikom dużą frajdę. Będzie im mówił o Krakowie. A więc o poranku w Krakowie, o dniu i wieczorze grodu, w którym rezyduje kardynał Sapiecha, będzie mówił o listopadzie w tym mieście, o zimie. Zapowiada, że stać go na swojego rodzaju krakowskie „perpetuum mobile”.

Można by podejrzewać tu specyficzną postawę pisarską „na dziś” publicystów określonego kręgu. Jest tak zresztą i u niektórych naukowców. Jeden z czcigodnych profesorów historii literatury ma również na swoim koncie coś w rodzaju perpetuum mikiewiczowskiego. Ale jak interesująco skonstruowane? Na seminarium z swoimi uczniami przerabiał on ciagle tak frapujące „problemy”: „Poranek w poezji Mickiewicza”, „Wieczór w poezji Mickiewicza”, „Anioł w poezji Mickiewicza”, „Diabeł w poezji Mickiewicza” i tak w nieskończoność.

Drugi z wymienionych to już na pewno (a Kisiel — to się jeszcze okaże) uprawia swoją „dziwną zabawę”. Wobec niewątpliwie brzydka dla ucha pisarzy katolickich „skrzeczącej” dzisiejszej rzeczywistości — można zająć właśnie taką postawę — zgłosić swoje „desinteressement” — toteż jednak jest walka. Może się uda wyizolować swoich uczniów i swoich czytelników z problematyki dzisiejszej. Będzie ich się czarało mgiełkami krakowskimi, asocjacjami dawnej staropolskiej kuchni. Inwencje tu można dużą rozwinąć, potrzeba tylko talentu, no a Kisiel talent niewątpliwie ma. Ciekawymy bardzo jak będzie dalej prowadził swoją „dziwną zabawę”.

L. S.

„Wniebowzięty autor”

W Nrze 45 „Dziennika Literackiego”, Jalu Kurek kończy swój reportaż z objazdu po ziemi krakowskiej i rzeszowskiej słowami biblijnymi. „Nie samym chlebem człowiek żyje”. Oczywiście, bo oprócz chleba, trzeba też człowiekowi, jeśli już nie wiedzy, to przynajmniej doświadczenia takiego, jakie zdobył autor „Grypy”, w czasie objazdu dwu województw. „Rozreklamował kulturę jak pastę do zębów” i to wystarczyło, bo „słuchacze wzruszeni, zasluchani, cisi” — i z biernej ich postawy Jalu Kurek przekonał się o ich „niesfalszowanym stosunku do kultury, stosunku niezakazonym wielkomięskim snobizmem i załamaniem”. Pochwała więc prowincję, gloryfikuje młodzież i nauczycielstwo.

Z opisu Kurka czytelnik doznaje wrażenia, że autor (J. Kurek) bardzo rzadko styka się z ludnością prowincji, choć sam radzi innym autorom tworzyć w „kontakcie z społeczeństwem, a nie w izolacji za szklaną szybą”.

W początku podróży zajął się Kurkowi „Bochnia, żyjąca swoją solną sławą”. No i ta „sala trzykrotnie nabita młodzieżą”. Być może, iż w tym „solnym okręgu” ludność jest mądra (sól — symbol mądrości). I Jalu Kurek nie potrzebował nawet wdawać się w dyskusję z słuchaczami i na ognistym wozie uniesień pojechał do Miela. Tam poznał „zabarowanego inspektora oświatowego Regnera” i to mu wystarczyło za dowód, że tamtejsza ludność jest dość przygotowana do konsumpcji kultury.

Z kolei w Tarnobrzegu poznał Kurek drugiego inspektora Steina, z śpiewną kresową mową, przystojnego Zimolaga „z zabójczą czupryną”, następnie pokazał mu starosta „odnowiony lokal”, gdzie rozpoczął z „panią Weissową budującą mowę o alkoholizmie”.

W Dębicy zobaczył Kurek ponad 300 młodzieży szkolnej, kwiaty, przemówienia. „Młode pokolenie dębickie spisało się porządnie”. Mądre to musi być pokolenie i tak zornieśle przemawiające, aż Jalu Kurek rzucał z radości kwiaty. A na deser „list od pani Grabowieckiej, córki podhalańskiej Naprawy”.

W Tarnowie Kurek domyślił się, że trzeba z słuchaczami rozpocząć dyskusję. Musiała to być dziwna dyskusja, skoro według Kurka tamtejsza „młodzież wykazuje wielkie zainteresowania i orientacji”. Bo według mnie — to gdyby młodzież była dość zorientowana, też by zarzuciła autora kwiatami.

W końcu swego etapu, w miasteczku Biecz, poznał Kurek „piękną postać ideowca dra Bielskiego”.

Tyle dowiedzieliśmy się od Jalu Kurka z jego objazdu po całej prawie Małopolsce. Były „zabite sale, zorientowana młodzież, piękne postacie, z zabójczymi czuprynami, inspektorzy, doktorzy, oświatowcy, odnowione lokale z wieżyczkami, kwiaty, wniosłe przemówienia, pochwalne listy, sol mądrości i wszystko, co tylko sam Bóg stworzył na tym ziemskim padole. Na tym właśnie według Kurka polega „prawdźwiwy niesfalszowany, niezalany stosunek ludności prowincjonalnej do kultury”. Kurek nie postarał się sprowokować tej biernej i na odmianę olśniewną swą postaciami — publiczności do dyskusji na ich stosunek do obecnych przemian społecznych, do klasowej twórczości, do czytelnictwa, do kultury itd... Może i dobrze zrobił, bo zamiast kwiatów pod stopy — byłby otrzymał wiele ciępkich uwag, posądzeń, głupich wykrętów i zrozumiałby, że się znalazł nie „w kraju króla Cwieczka”, lecz w zapóźnionej prowincji, która jeszcze dużo pozostawia do życzenia na każdym polu ogólnego postępu życia.

Kurek z objazdu wyniósł jedno doświadczenie: ludność na prowincji jest „cicha, zorientowana, nieskazona, niezalana, uspołeczniona, ocytana, ukulturalniona”. Więc o ileż „Czytelnik” zrobiłby lepiej, by zamiast Kurka — wysłał w krakowskie i rzeszowskie parę transportów swoich pism i książek...

Józef Pogan

Post Scriptum:

W chwili pisania tych słów myślę właśnie o swym objeździe Śląska w dniach: 21, 22, 23 i 24 listopada. Ciekaw jestem nastroju słuchaczy. Jednak z góry jestem przekonany, że ani jeden kwiat nie padnie pod me stopy. A to dlatego, że między mną a słuchaczami nie będzie żadnej przestrzeni.

J. P.

Jak święci Pańscy dopomagają przy egzaminie z teorii marksizmu

Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego wprowadziło ostatnio dla nauczycieli gimnazjalnych, którzy ubiegają się o przyznanie pełnych kwalifikacji, przymusowy egzamin z zagadnień Polski i świata współczesnego, z teorii marksizmu, z ekonomii i nowoczesnej metodologii nauk. Jest to posunięcie niezmiernie celowe i słuszne (szkoda tylko, że o ile wiem, odosobnione. Inne kuratoria uważają prawdopodobnie, że mają czas).

Nie wiem, jak ten odpowiedzialny i niełatwy egzamin wygląda (część teoretyczna obejmuje zagadnienia dość trudne i dla większości kandydatów, mimo czterech lat Niepodległości — świeże), ponieważ jest tak jennyma polszynela, że znikomy tylko odsetek nawet spośród nauczycieli tego „pokolenia czyta poważną prasę społeczną i naukową”.

Kandydat do egzaminu, znajomy nauczyciel łaciny w gimnazjum, „którego nazwiska nie wspomnę, nie to albowiem do rzeczy nie przyda” prosi mnie o „fachową pomoc”. Ma dwa miesiące na przygotowanie się. Po zorientowaniu się w programie daje mu dwie broszury klasyków (ograniczam się w ogóle do minimum), Schaffa, Gasiorowską, broszurę Zółkiewskiego o naczytelstwie, Hist. Gospod. Kuli, Dylika, kilka artykułów z „Kuznicy” i „Wsi”. Zachnął się, spojrzął na mnie z ukosa tak jak się patrzy na kogoś, kto kpi i o drogę pyta, a także jak się w niektórych kołach patrzy na „prawdziwego marksistę”.

Rozmówca mój znalazł dużo łatwiejsze i skuteczniejsze środki pozbycia się „kłopotu”.

1) zeszyt przedmiotowy swego młodszego brata z Nauki o Polsce Współczesnej (brat miał podobno z tego przedmiotu czwórke).

2) codzienną nowenkę do świętych Pańskich szczególnie zainteresowanych w szczególnym zdawaniu egzaminów przez wiernych.

I rzeczywiście, moje propozycje okazały się donkiszoterią, a święci pańscy poczęli dopomogli nawet przy tak dla siebie niesamymym przedmiocie jak marksizm. Mój łacinnik zdał „na bardzo dobrze”. Egzamin trwał raptem 12 minut. Pytania postawione zgola niekłopotliwe:

1) szkoły w Sparcie, 2) jakie mamy obecnie partie polityczne? 3) Kiedy został wygłoszony Manifest P.K.W.N. i co zawierał? Po tym oczywistym sukcesie mój rozmówca jako „spec” objął wakującą „katedrę” zagadnień. A lekcje łaciny? Aktualizuje... emanację „Wiecznego Ducha Hellenizmu” na polskich „Wieszczów”.

Czcigodni egzaminatorzy, wiadomo, że macie mało bardzo czasu, a wielkie serca. Ale niechże ten egzamin nie będzie fikcją, gdyż w takim wypadku fikcja staje się i likwidacja niedomagań naszego dzisiejszego szkolnictwa.

T. R.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000.— zł; 1/2 kolumny 30.000.— zł;

1/4 kolumny 15.000.— zł; 1/3 kolumny 8.000.— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 50.— zł, kwartalnie 150.— zł, półrocznie 300.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr. 4 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2. D—02379.